

LEIGH MICHAELS

Spróbujmy jeszcze raz



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Promienie słoneczne wlewały się kaskadą przez wielkie okno u szczytu wysokiej klatki schodowej, oświetlając wnętrze starego domu z pruskiego muru. Wewnątrz panowała cisza. Dziewczęta, którym nie udało się uniknąć wykładów o ósmej rano, już dawno wstały. Pozostałe leżały, pogrążone wciąż w słodkim śnie. Cassidy Adams wyszła z maleńkiego, dwupokojowego apartamentu zarezerwowanego dla opiekunki akademika i zeszła na dół do jadalni.

Siedząca przy stole studentka ostatniego roku, nienagannie ubrana i starannie umalowana, podniosła wzrok znad talerza, na którym samotnie leżała jedna grzanka i jęknęła.

- Przecież dziś nie poniedziałek - powiedziała Cassidy, nalewając sobie kawy z dzbanka. - Więc skąd ta ponura mina, Heather?

- To przez ciebie.

- Czym sobie zasłużyłam na twój zły humor? Przecież dopiero wstałam - Cassidy uśmiechnęła się, nakładając na talerz porcję sałatki owocowej i dwie bułeczki.

- No właśnie. My tu spędzamy długie godziny przed lustrem, żeby wyglądać jak najpiękniej, a ty załatwiasz to w pięć minut i spychasz nas wszystkie w cień. Nie musisz układać fryzury - wystarczy, że przeczeszesz włosy. I jak ci się to udało, że masz rude włosy i tak wspaniałe, czarne rzęsy?

- Tusz do rzęs to cudowny wynalazek - Cassidy starannie rozłożyła serwetkę na kolanach, chroniąc turkusową spódnicę.

- A te ciuchy pewnie kupiłeś na wyprzedaży - ciągnęła Heather z goryczą - a i tak wyglądają lepiej niż moje najbardziej wystrzałowe kreacje.

- Może humor by ci się poprawił, gdybyś zjadła przyzwoite śniadanie?

- Nie mogę - potrząsnęła głową Heather. - W ostatnim tygodniu utylam kilogram. Jak tak dalej pójdzie, nie zmieszczę się w żadną sukienkę. - Odgryzła kawałek grzanki. - Co najmniej połowie tych facetów, którzy przychodzą do akademika, chodzi o zobaczenie ciebie, a nie żadnej z nas - dorzuciła po chwili.

- Heather, wiesz przecież, że się o to nie staram - Cassidy poczuła się trochę nieswojo.

- Nie musisz. Zawsze wyglądasz jak oaza spokoju, bez względu na to, co się wokół ciebie dzieje. Mężczyzn to doprowadza do szału. Jak się tego nauczyłaś?

Cassidy uśmiechnęła się słabo.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Na schodach rozległy się kroki i do jadalni wpadła studentka w długiej nocnej koszuli, z ręcznikiem obwiązanym wokół głowy.

- Cassidy, Melanie pożyczyła na wczorajszą randkę mój różowy sweter i poplamiała go z przodu. Moim zdaniem to likier miętowy, a ona twierdzi, że nigdy nie pije alkoholu.

Cassidy westchnęła. No cóż, normalny poranek w żeńskim akademiku Alpha Chi.

- Czy pytałaś Melanie, co się stało, Lauro?

- Nie, ten leń ciągle śpi. Wróciła dopiero po zamknięciu bramy...

- Wiem, sama ją wpuszczałam - powiedziała Cassidy i dodała w myśli, że będzie musiała z Melanie o tym porozmawiać. - I tak ładnie z jej strony, że oddała ci sweter przed pójściem spać - popatrzyła spokojnie na dziewczynę. Laura przestąpiła z nogi na nogę.

- Tak naprawdę, to sama go wzięłam z jej pokoju, przed chwilą - przyznała.

- Ach tak? Uzgodniłyśmy przecież, że nie będzie grzebania w rzeczach koleżanek - Cassidy odsunęła krzesło i wstała. - Jestem przekonana, że jakoś się dogadacie, Lauro. Nie będziemy chyba mieszać w to samorządu?

Dochodziła już do drzwi kuchni, gdy usłyszała narzekanie Heather:

- I nie spała do późna w nocy. Ma świetną figurę, może bawić się do Bóg wie której godziny, a rano wcale tego po niej nie widać. To nie w porządku wobec nas.

- Na pewno kiedyś schudniesz, Heather - Laura była niezwykle szczerą. - Może dziesięć lat temu, kiedy była w twoim wieku, Cassidy wyglądała tak samo jak ty.

Cassidy uśmiechnęła się do siebie i pchnęła drzwi do kuchni. Dziesięć lat temu była pulchną piętnastolatką i w niczym nie przypominała wytwornej Heather. Ale kobieta na jej stanowisku powinna udawać, że jest starsza i mądrzejsza niż w rzeczywistości, choć nie jest to może zbyt miłe, gdy podopieczne dodają jej kilka lat. A jeśli chodzi o to wrażenie - jak to Heather nazwała? Ach tak, oazy spokoju - no cóż, ciężko na to zapracowała. I z całą pewnością nie życzyłaby swoim podopiecznym podobnych doświadczeń...

W kuchni sprawdziła jadłospisy na cały tydzień i porozmawiała ze swoją zastępczynią, która pracowała także jako kucharka. Miały pod opieką trzydzieści dwie dziewczyny, któraś z nich musiała być zawsze na miejscu. *Dzięki Bogu za tak solidną zastępczynię* - myślała Cassidy, idąc przez park do samochodu. Czasami zastanawiała się, czy ta praca, którą na siebie wzięła, to nie za wiele. Od czterech miesięcy, czyli odkąd wprowadziła się do akademika, nie miała dla siebie ani jednej wolnej chwili.

Ale jeśli do nieprzyjemnej rzeczywistości podchodzi się bez goryczy i utyskiwań, osiąga się ten wyraz spokoju, którego Heather tak jej zazdrości.

Na pierwszym czerwonym świetle przerzuciła notatnik. Miała obiecany piętnastominutowy wywiad z burmistrzem jednej z leżących na obrzeżach miasta dzielnic, na temat kryzysu w miejskim budżecie. Pewnie przez resztę poranka będzie uzupełniała szczegóły i pisała reportaż. No i trzeba będzie zakończyć rozpoczęte wczoraj wątki - skandal narkotykowy w jednym z najbardziej eleganckich osiedli, pożar w magazynach fabryki, postęp w rozmowach ze strajkującymi w szpitalu miejskim...

Czyli znów zapowiada się szaleńczy dzień. Dla reportera w dzienniku to chleb powszedni i Cassidy w gruncie rzeczy bardzo to lubiła. Podobało jej się, że zawsze było coś nowego, że nigdy nie było wiadomo, co przyniesie jutro.

Opuściła szybę w samochodzie, by wpuścić świeże powietrze. Był to pierwszy naprawdę ciepły dzień. Przyszedł później niż zazwyczaj w Kansas City. W poprzednich latach taka pogoda zdarzała się czasem nawet w marcu, a tu już koniec kwietnia.

Otrząsnęła się i szybko postarała skupić myśli na czymś innym. Ale to już nie bolało, nie tak jak w minione wiosny. Ciepły wietrzyk, jasne słońce, zapach świeżej zieleni nie przytłaczały jej serca tak jak dawniej, chociaż czuła żal. Przez całe życie pierwszy ciepły, wiosenny dzień będzie jej przynosić smutek.

Wywiad poszedł nadspodziewanie dobrze, choć najpierw burmistrz nie bardzo chciał uwierzyć, że to właśnie ta młoda, brązowooka dziewczyna

napisała cykl ostrych artykułów o zanieczyszczaniu rzeki Missouri przez miejscowy przemysł.

- C. R. Adams to pani? - zapytał z niedowierzaniem. - Ależ pani jest taka młoda...

- I w dodatku jestem kobietą - pomogła mu Cassidy. - Niech się pan nie przejmuję, panie burmistrzu. Sporo ludzi popełnia ten sam błąd. Porozmawiajmy zatem o tych podatkach, które pan proponuje...

Burmistrz wciąż kręcił głową.

- Nie przywykłem do ładnych reporterów - zamruczał.

W końcu jednak Cassidy udało się wyciągnąć z niego interesujące ją fakty. Zawsze ją bawiło, że ludzi zdumiewa jej młody wiek, płeć i zakładany z góry brak doświadczenia. Szybko odkryła, że kontrast między bezosobowym podpisem C. R. Adams a rzeczywistością działał na jej korzyść, ponieważ często wytrącał rozmówcę z równowagi tak dalece, że Cassidy uzyskiwała odpowiedzi na pytania, których inny reporter nie mógłby nawet zadać.

W drodze do redakcji układała sobie w głowie początek artykułu. Gdy zbliżała się już do celu - dużego, parterowego budynku, który niegdyś służył jako supermarket, a teraz mieścił redakcję "Alternative" - artykuł był niemal gotowy. Wystarczyło sięść i napisać.

Wysiadając z samochodu zatrzymała się na moment i spojrzała na wielkie litery pokrywające całą ścianę ceglanego budynku - "Alternative". *To dziwna nazwa dla gazety* - pomyślała, gdy przyszła tu pierwszy raz, szukając pracy.

Redaktor naczelny wyjaśnił jej wówczas, że "Alternative" to nowa gazeta, uczciwa i idealistyczna. Istniejące do tej pory dzienniki zawsze stawały po stronie najbogatszych obywateli miasta i nie zadawały trudnych pytań.

- Brian zachowuje się jak ranny niedźwiedź. Szuka cię od rana. - Młody reporter przepchnął się między nią a ścianką, oddzielającą pokój reporterów.

- Przecież wie, że miałam wywiad - powiedziała Cassidy na wpół do siebie. - Sam mi kazał...

- No cóż, nie radzę ci w tej chwili wchodzić do jego biura, bo siedzi z samym wielkim szefem. - Młody człowiek uniósł znacząco brwi. - A kiedy wydawca przychodzi do redaktora naczelnego, to oznacza zwykle jakieś nieprzyjemności.

Cassidy westchnęła i poszła wzdłuż długiego szeregu starych biur do swojego, pomalowanego na oliwkowy kolor. Włączyła komputer i była w połowie wstępnej redakcji artykułu, notując rzeczy, które powinna jeszcze sprawdzić, gdy ktoś pociągnął ją za rękę. Trzyletnie dziecko zaczęło wdrapywać się jej na kolana.

- Na litość boską, Tereso! - zawołała matka dziewczynki. - Zostaw Cassidy, jesteś cała umazana czekoladą!

- Wszystko w porządku, Chloe - Cassidy wyciągnęła chusteczkę i wytarła buzię i rączki dziecka. Usadziła sobie małą na kolanach. Dziewczynka przytuliła się, a Cassidy na moment zacisnęła powieki. Czasami, gdy trzymała Teresę, wyobrażała sobie jak inny malec gdzieś tam się bawi, gdzieś układa się do snu--

Zmusiła się, by skupić uwagę na młodej kobiecie, stojącej koło biurka.

- Jak tam twoja wyprawa do San Francisco?

- Wspaniale. Ach, to mi przypomina... - Chloe McPherson postawiła wielką torbę na rogu biurka i zaczęła w niej grzebać. - To okropne, ile trzeba ze sobą nosić, gdy się ma małe dziecko. O, jest. - Wyciągnęła długą, nieco pomiętą kopertę i podała ją Cassidy. - Twoje pokwitowanie.

Cassidy otworzyła kopertę tyle tylko, by dostrzec kopię przekazu pieniężnego i wetknęła ją szybko do torebki.

- Wysłałaś? - Jej głos był nieco stłumiony.

- Z poczty głównej, zgodnie z zaleceniem, na dzień przed powrotem do domu - Chloe popatrzyła niepewnie. - Cassidy...

- Dzięki, Chloe. Jesteś prawdziwą przyjaciółką - przerwała Cassidy z szerokim uśmiechem.

- Co oznacza, że sprawa jest zamknięta, tak? Chciałabym zrozumieć, dlaczego wysyłasz pieniądze Reidowi Cavanaugh.

- Dług to dług.

- W porządku - jesteś mu winna pieniądze. Ale przecież mu ich nie ukradłaś!

- Mówiłam ci, że to była pożyczka - Cassidy poczuła, że jej sumienie nie jest całkiem czyste, choć przecież nie było to kłamstwo.

- Więc czemu spłacasz ją w tak dziwny sposób? Wystarczyłoby posłać mu czek.

- Jeśli nie zrealizuje czeku, pieniądze zostają na moim koncie. A przekaz musi przyjąć. Może go podrzeć, ale to tak, jakby darł banknoty...

- Dlaczego miałby go drzeć? Chyba że nie uważa tego ani za pożyczkę, ani za dług!

- Na litość boską, Chloe - westchnęła Cassidy. - Za chwilę zaczniesz myśleć, że opłacam się szantażyście lub coś w tym rodzaju.

Oczy Chloe rozbliły.

- A jest tak? Nie mogę sobie tylko zupełnie wyobrazić, czym można by cię szantażować. Jesteś tak beznadziejnie czysta.

Cassidy przygryzła wargi.

- Nie całkiem. Chyba powinnaś wrócić do pracy, Chloe. Po sześciu miesiącach na urlopie wychowawczym straciłaś nosa i łapiasz się za plotki. - Zdjęła Teresę z kolan i skupiła uwagę na ekranie komputera.

Nie powinnam była jej ufać - myślała. Rasowy reporter, taki jak Chloe, jest zawsze ciekawski i we wszystko musi wetknąć nos. Nie można się dziwić, że ma swoje podejrzenia - historyjka, jaką Cassidy jej zaserwowała, nie bardzo trzymała się kupy. Ale opowiedzenie prawdy byłoby jeszcze gorsze.

Wyprawa Chloe do San Francisco była okazją, której nie wolno było przegapić - przekonywała się Cassidy. Nie może przecież co miesiąc lecieć gdzieś tylko po to, żeby wysłać przekaz.

Z drugiej strony nie może dopuścić, by rozwiała się zasłona dymna, jaką stworzyła między sobą a Reidem Cavanaugh. Nie wiedziała, czy szukał jej przez te jedenaście miesięcy, od kiedy zaczęła wysyłać mu przekazy, nie chciała jednak, by się domyślił, iż wciąż mieszka w Kansas City. Nie wiedziała także, jak zareagował, gdy otrzymał pierwszy przekaz, ale mogła zgadnąć. Reid był dumny i taki gest niewątpliwie doprowadził go do wściekłości. Kilka razy widziała go wściekłego. Raz, gdy oskarżyła go o kupowanie dziecka... Nie chciałaby przeżywać tego ponownie.

- Cassidy! - głos był tak donośny, że oliwkowe biurko zadrżało. Podskoczyła na krześle i obróciła w stronę pokoju naczelnego redaktora. Zapomniała, że Brian chciał z nią rozmawiać.

Złapała notatnik oraz próbny wydruk artykułu z komputera i pobiegła w stronę wydzielonego szklaną ścianką biura. Brian Erikson był bardzo sprawiedliwym szefem, ale nauczyła się już, że nie znosi czekać.

Wyglądało na to, że narada z wydawcą nie była zbyt przyjemna. Brian siedział w fotelu z nogami opartymi na biurku, a cygaro, nigdy nie zapalone, ale zawsze wiszące w kąciu ust, było całe pogryzione.

- Zamknij drzwi - warknął. - Gdzieś ty była całe rano?

Bez słowa podała mu wydruk. Brian rzucił na niego okiem i oddał jej z westchnieniem.

- Całkiem o tym zapomniałem. Ale i tak nie powinno ci to być zajęć całego przedpołudnia.

- Jakież to miłe przeprosiny - mruknęła Cassidy.

- To komplement. Jesteś zbyt dobrym reporterem, by marnować pół dnia na takie głupstwo.

- Mam wrażenie, że coś trzymasz w zanadrzu.

Brian wyjął z ust cygaro, zdjął nogi z biurka i przechylił się w jej stronę.

- Mam dla ciebie cudowną robótkę na dzisiejszy wieczór - powiedział.

- Wieczór? Brian, przecież wiesz, że mam teraz obowiązki w akademiku. Nie mogę...

- Tu też masz obowiązki. Co jest dla ciebie ważniejsze?

Cassidy przygryzła wargę.

- Oczywiście gazeta. Ale może jednak ktoś inny tym się zajmie? Są inni reporterzy, a mnie obiecywałeś, że nie będę musiała pracować w nocy.

- Co z ciebie za reporter, skoro chcesz pracować tylko od - do, Cassidy?

- Brian, powinienesz mnie uprzedzić wcześniej, kiedy masz dla mnie jakieś zajęcie na wieczór...

- Właśnie cię uprzedzam. A gdybyś tu była rano, byłabyś uprzedzona wcześniej.

- Przecież... - przerwała. - No dobrze, o co chodzi?

- Masz iść na przyjęcie. Pięćset dolarów od łebka i całe wpisowe idzie na mieszkania dla bezdomnych.

Cassidy wpatrywała się w Briana z niedowierzaniem.

- Coś pięknego! Od kiedy to przeniosłeś mnie do rubryki towarzyskiej?

Brian uśmiechnął się krzywo.

- Jak będziesz taka bezczelna, powierzę ci namawianie księży, by pisali kazania na naszą kolumnę religijną - powiedział bez złości.

- Przepraszam - mruknęła Cassidy. - To przyjęcie będzie zabawne, mam nadzieję.

- W każdym razie to coś dla ciebie. Pomyśl o poetycznych kontrastach sytuacyjnych - zbiórka pieniędzy na bezdomnych wśród ludzi, którzy na ogół sami mają po dwa domy. Nie mówiąc o jachtach...

- Czy to znaczy, że chcesz maleńkie, ironiczne opowiadanko?

- Nic z tych rzeczy. Całkiem poważny artykuł. Spotkasz tam całą elitę Kansas City. Zawsze warto nawiązywać takie znajomości, nigdy nie wiadomo, kiedy ci się mogą przydać. Te twoje artykuły o ludziach, których nie stać na kredyt bankowy...

- To nie to samo, co być bezdomnym - Cassidy nagle poczuła, że gardło jej się ściska. - Gdzie jest to przyjęcie?

- W Mission Hills, gdzieżby indziej? - Brian wyszukał w stosie innych właściwą karteczkę i podał jej. - Jeszcze jeden poetyczny kontrast, Cassidy. Facet, u którego odbywa się przyjęcie, zrobił majątek budując luksusowe bloki, w których najmniejsze mieszkanko kosztuje ponad ćwierć miliona dolarów. Wiesz, ilu bezdomnym można by zapewnić dach nad głową za cenę jednego z jego bloków na Quality Hill? Poza tym nie próbuję sobie nawet wyobrazić, ile kosztował jego własny dom w Mission Hills - chyba fortunę.

Cassidy nie słuchała już, wpatrzona w kartkę z adresem. Znała ten adres na pamięć i pewnie nigdy go nie zapomni.

- Reid Cavanaugh - powiedziała cicho.

- Znasz to nazwisko? - Brian był zaskoczony. - To dziwne. Ten facet na ogół trzyma się w cieniu. Nie jest ani doradcą burmistrza, ani członkiem komitetu gubernatora, a, o ile wiem, także żadnego innego. W gruncie rzeczy zajmuje się chyba tylko budowaniem. Zaskoczyło mnie nawet, że to przyjęcie odbywa się u niego.

Brian znów ulokował się wygodnie, z nogami na biurku, i wsadził cygaro w kącik ust.

- Może uda ci się namówić go na wywiad, Cassidy. To by było piękne zamknięcie twojej serii artykułów mieszkaniowych - przemysł budowlany oczyma tajemniczego pana Cavanaugh.

- Brian...

- I nie truj mi, że ci się nie uda. Tylko ty jesteś w stanie namówić go na rozmowę, Cassidy.

Cassidy zamknęła się w damskiej toalecie i usiadła, opierając o umywalkę. Głowa ją bolała, jakby ktoś ścisnął ją w kleszczach.

"Tylko ty jesteś w stanie namówić go na rozmowę, Cassidy". No cóż, to pewnie prawda. Na pewno bez trudu zgodzi się z nią porozmawiać, tylko że to nie ona będzie wtedy zadawać pytania.

To się musiało tak skończyć - powiedziała sobie Cassidy. - *Jeśli chcesz być dziennikarką działu miejskiego, prędzej czy później zetkniesz się z każdym, kto jest kimś. To było głupie z twojej strony, Cassidy Adams, że nie przyszło ci to wcześniej do głowy* - monologowała dalej.

Rzeczywiście o tym nie pomyślała. Ostatecznie reporterzy w dziale miejskim niewielkiej gazety zazwyczaj spędzali czas uganiając się za pożarami, politykami i detektywami z wydziału zabójstw. Nie bywali w tych samych miejscach, co milionerzy. A Reid nigdy nie był człowiekiem z pierwszych stron gazet i nigdy się o to nie starał. Swoje prywatne interesy trzymał przy sobie i bardzo pilnował, by nikt nie miał w nie wglądu...

To ciekawe - nigdy przedtem o nim tak nie myślała. Zawsze uważała, że to jego rodzinna duma wpakowała ich w tę sprawę cztery lata temu. Tak czy inaczej powinna zastanowić się, co zrobić.

Brian nie zrozumie, dlaczego nie chce spotkać się z Reidem Cavanaugh, chyba że opowie mu całą historię. A pewnie i wtedy tak rasowy dziennikarz jak Brian nie ulituje się nad nią, tylko zatrze ręce i uzna, że jej szanse na wywiad są

jeszcze większe, niż myślał. Nie, nie było sensu opowiadać wszystkiego Brianowi.

Musi więc Reida po prostu unikać. Pójdzie na przyjęcie, ale jutro powie Brianowi, że nie udało jej się z nim rozmawiać, lub że jej odmówił. Będzie to niewielkie minięcie się z prawdą, ale przecież Brian nie zadzwoni do Reida, żeby to sprawdzić.

Jęknęła w duszy. To przecież niemożliwe - iść na przyjęcie do domu Reida i go nie spotkać. Tego domu nie projektowano dla większej liczby osób i nie ma gdzie się tam schować.

W końcu Cassidy wróciła do biurka i próbowała skupić się na przełożeniu propozycji burmistrza na język zrozumiały dla przeciętnego czytelnika. Usiłowała bezskutecznie zapomnieć o wiszącym nad nią zadaniu i wywołanym przez nie z przeszłości duchu - duchu, o którym w ciągu ostatniego roku zaczynała powoli zapominać.

Mission Hills oddzielał od samego miasta Kansas jedynie wąski bulwar, ale gość w tej dzielnicy miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Było to jedno z najmniejszych i najbogatszych w kraju osiedli. Wąskie uliczki wiły się wśród porośniętych drzewami wzgórz w pozornie przypadkowy sposób. Wzdłuż nich wzniesiono piękne domy.

Cassidy zawsze orientowała się tam z trudnością. Czasami wydawało jej się, że wreszcie pojęła układ uliczek, ale wtedy właśnie natychmiast wyjeżdżała z powrotem na bulwar. Doszła w końcu do wniosku, że specjalnie tak zaplanowano tę dzielnicę, by nieproszeni goście nie mogli się w niej połapać. Jednakże tym razem, gdy chętnie zgubiłaby się tu na dobre, dojechała bez problemów do Mission Drive, gdzie u szczytu zbocza schodzącego w dół do terenów klubu golfowego stał kremowy dom. Cztery lata temu był niemal zupełnie nowy. Nazywał się "Chatka". Reid powiedział jej kiedyś, że tego określenia użyła z pogardą jedna z sąsiadek, gdy ujrzała dom po raz pierwszy.

Wyrażenie sąsiadki przyjęło się. Dom rzeczywiście przypominał nieco europejski wiejski domek, z głębokimi okapami, gontowym dachem i ciemnobrązowymi okiennicami. I choć nie był ani ciasny, ani niewygodny, w porównaniu z wielkimi rezydencjami sąsiadów robił wrażenie małego. Ale wygląd, jak Cassidy wiedziała, bywał zwodniczy.

Zaparkowała na ulicy z dala od domu i powoli przecięła wspaniale utrzymany trawnik. W Mission Hills ludzie więcej wydawali rocznie na utrzymanie trawnika niż wiele rodzin w mieście na utrzymanie w ogóle.

Sądząc z liczby stojących przy ulicy samochodów, przyjęcie było już w toku, ale goście wciąż jeszcze napływali. Cassidy szła ścieżką koło fontanny i wśród krzewów, aż w końcu przestąpiła próg miejsca, które - przez kilka krótkich tygodni niemal cztery lata temu - było jej domem.

W holu kłębił się tłum. Chwilami Cassidy dostrzegała szerokie schody prowadzące na niższy poziom i do salonu. Nie musiała się przyglądać, jedno spojrzenie wystarczyło, by upewnić się, iż kolorystyka wewnątrz była wciąż tak samo pastelowa i służyła jedynie za ramę dla najwspanialszej ozdoby domu: widoków z okien, ukazujących zbocze wzgórza, łagodnie spływające w dół do niewielkiego strumienia i terenów golfowych po drugiej jego stronie.

- Pani zaproszenie, proszę? - usłyszała cichy głos.

Wyciągnęła otrzymany od Briana kartonik.

Elegancka kobieta przy stoliku recepcyjnym zrobiła zdziwioną minę.

- Pani jest z prasy?

- Jestem CR. Adams z "Alternative" - powiedziała Cassidy.

- Ach tak. Natalie panią oprowadzi. - Młoda kobieta stojąca przy drzwiach do jadalni obróciła się na dźwięk swego imienia i podeszła do stolika. - Natalie, daj pannie Adams materiały dla prasy, dobrze? Pewnie chciałaby pani porozmawiać z naszą kierowniczką, no i oczywiście z panią Cavanaugh. Natalie, nie wiesz, dokąd poszła pani Cavanaugh?

Pani Cavanaugh. No cóż, nie powinna się dziwić, wiedziała przecież, jak znakomicie Reid potrafił unikać wszelkiego rozgłosu. Ale przecież gdyby się ożenił, musiałyby o tym usłyszeć, szczególnie, jeśli jego żona zajmuje się takimi rzeczami jak mieszkania dla bezdomnych...

Tłum rozsunał się na moment. W tym momencie Cassidy uniosła na chwilę głowę i przez całą szerokość holu jej spojrzenie spoczęło na wysokim, wchodzącym po schodach mężczyźnie. Jedną rękę opierał na szczycie balustrady, a drugą unosił do ust kieliszek wina. On też wydawał się wpatrywać w Cassidy, marszcząc lekko czoło, jakby się gniewał.

Nie powinno mnie to dziwić - pomyślała Cassidy.

Hałas przyjęcia odpłynął gdzieś w dal, zagłuszony przez dudnienie krwi w jej uszach.

Cztery lata. Mógł się przez ten czas tak zmienić, że nie rozpoznałaby go - ale nie zmienił się wcale. Wciąż był wysoki, szczupły, bez grama zbędnego ciała. Jego włosy wciąż wyglądały jak mieszanka czarnego ze srebrnym, a szczęki zaciskał z takim samym zdecydowaniem.

Frontowe drzwi otwarły się. Zabłąkany promień zachodzącego słońca wpadł przez nie, dotknął jego głowy i zmienił włosy w srebrną masę.

W tym momencie Reid Cavanaugh wypogodził czoło i odwrócił się. Po chwili przez gwar tłumu Cassidy usłyszała jego beztronski śmiech.

ROZDZIAŁ DRUGI

Reid Cavanaugh zniknął w tłumie, ale Cassidy potrzebowała dłuższej chwili, by się opanować. Sama nie była pewna, czego się spodziewała. W każdym razie nie żadnej sceny, bo to nie leżało w jego naturze. Z drugiej strony fakt, że całkowicie ją zignorował, odwrócił się bez słowa, jakby nie był nawet ciekaw, co ją tu sprowadziło...

No cóż, skoro tak sobie życzy, nie będę za nim biegać - powiedziała sobie. - Po prostu zajmę się tym, po co tu przyjechałam i będzie mi znacznie łatwiej, jeśli Reid będzie mnie unikać.

Uśmiechnęła się do młodej kobiety, która na nią czekała.

- Sama dam sobie radę, dziękuję - powiedziała uprzejmie, biorąc przygotowaną dla prasy teczkę z informacjami. - Nie chciałabym odciągać pani od obowiązków. Proszę podać mi tylko jeszcze raz nazwisko kierowniczki fundacji organizującej dzisiejsze przyjęcie.

Zapisała nazwisko w miniaturowym notatniku i zeszła na niższy poziom domu. Próbowwała zignorować ssanie w żołądku. Nigdy nie potrafiła swobodnie

krażyć w tłumie i nawiązywać znajomości, które być może kiedyś jej się przydadzą.

Szerokie schody kończyły się niewielkim pokojem, którego szklane drzwi prowadziły na zamknięte patio. U stóp schodów ustawiono mały barek. Barman spojrzał na Cassidy pytająco.

- Czy ma pan wodę? - spytała Cassidy.

- Przy takim tłumie ludzi? - prychnął barman. - Mam tonik, wodę mineralną, wodę selcerską, wodę źródlaną...

- Po prostu zwykłą, nadającą się do picia wodę. W szklaneczce do koktajli, z oliwką w środku.

Przyglądał się jej przez chwilę, potem pokręcił głową i dał jej to, o co prosiła.

- Czy widział pan gdzieś tutaj panią Cavanaugh? - spytała lekko, nie patrząc na barmana.

- Chyba z godzinę temu. Wydaje mi się, że poszła na górę.

- Dzięki - Cassidy rozgryzła oliwkę, wypila wodę i postawiła szklaneczkę na barku. - Jeszcze raz to samo, proszę.

- Ciekawy sposób picia. Inni będą już niedługo leżeć pod stołem - mruknął barman.

- I o to chodzi - Cassidy uśmiechnęła się szeroko, wzięła szklaneczkę i wyszła na patio, zatłoczone mimo wyraźnie chłodnego powietrza. Nic dziwnego, że ludzie tu wychodzą - pomyślała. Wewnątrz można było tylko stać, domu nie planowano dla takiego tłumu gości. Pani Cavanaugh musiała chyba zaprosić wszystkich mieszkańców Mission Hills...

W ciągu godziny Cassidy zawarła kilka nowych znajomości, co powinno usatysfakcjonować Briana, ale wciąż nie udało jej się znaleźć kierowniczkę fundacji organizującej przyjęcie. Dziewczyna w recepcji wyglądała już na zmęczoną, poinformowała jednak Cassidy, że szefowa rozmawia chyba z kimś w małym saloniku, po drugiej stronie holu, pierwsze drzwi na prawo.

Cassidy ścisnęło się serce. Dotychczas udawało jej się nie myśleć o domu i koncentrować na ludziach, z którymi rozmawiała. Ale ten mały salonik był kiedyś jej prywatnym schronieniem...

Rozejrzała się wokół. Salonik utrzymany był wciąż w pastelowych odcieniach niebieskiego i brzoskwiniowego, ale nie było to już chłodne, bezosobowe miejsce. Zmieniła się atmosfera pokój nabrał ciepła. - Poduszki na kanapie były rozrzucone, bladobłękitne obicie przysuniętego do okna krzesła nosiło wyraźne ślady używania. Na biurku stała fotografia w srebrnej ramce.

Fotografia przyciągnęła spojrzenie Cassidy. Nigdy jej przedtem nie widziała. Odstawiła szklanę z fałszywym martini, wzięła fotografię i wpatrzyła się w obrazek uśmiechniętej, szczęśliwej rodziny. Spoglądały na nią cztery pary oczu siedzących przed kominkiem ludzi - obok siebie na kanapie rodzice Reida, Reid na poręczu kanapy koło matki i Kent, zwinięty na dywanie u stóp rodziców.

Fotografię zrobiono wiele lat temu. Reid miał na niej całkowicie czarne włosy, a Cassidy wiedziała, że zaczął siwieć na skroniach jako zupełnie młody człowiek. Twarz Kenta na fotografii była niemal dziecinna. Nie wyglądał już tak w ten pierwszy ciepły, wiosenny dzień cztery lata temu, gdy na ostrym zakręcie utracił panowanie nad szybkim motocyklem...

A może tak właśnie wyglądał - pomyślała Cassidy ze smutkiem. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że ledwo pamięta jego wygląd. Wydawało jej się, że bardziej przypominał Reida.

To zapomnienie było prawdopodobnie rodzajem samoobrony, gdy żyła jeszcze w szoku wywołanym śmiercią kochanego człowieka. Może było konieczne dla przetrwania.

Usłyszała za sobą cichy odgłos zamykanych drzwi i odwróciła się gwałtownie, wciąż ściskając w rękach fotografię w srebrnej ramce.

- Więc to naprawdę ty - powiedział Reid Cavanaugh. - Słońce świeciło mi w oczy i nie byłem pewien.

Postarzał się - pomyślała Cassidy. Nie było tego widać przez szerokość holu.

Włosy miał już zupełnie szpakowate, a skronie niemal srebrne. Twarz mu zeszczuplała, a skóra napięta mocniej na kościach. Wokół oczu pojawiły się maleńkie, delikatne zmarszczki.

- Wróciłaś już z San Francisco - powiedział.

- Ach, więc dostałeś moją przesyłkę,

- Przesyłkę? Dostałem tajemniczy przekaz pieniężny, jeśli o to ci chodzi.

- Co w tym tajemniczego? Ach, rozumiem. Przykro mi, jeśli masz kłopoty z wyjaśnieniem... komuś tych przekazów.

- Sobie samemu nie mogę ich wyjaśnić. Przekaz na pięćset dolarów, wystawiony przez kogoś podpisanego C. McPherson. Dlaczego, Cassidy?

Cassidy stłumiła westchnienie. Nie przyjrzała się swojemu odcinkowi przekazu. Widocznie Chloe wszystko poplątała, wpisując własne nazwisko. Oczywiście, to nie ma już znaczenia, bo chodziło tylko o to, by Reid nie dowiedział się, gdzie Cassidy mieszka. Teraz już wiedział i nie robił wrażenia człowieka, któremu na tej wiedzy zależy.

- Nie widzę tu żadnej tajemnicy. Najwyraźniej i tak wiedziałeś, od kogo jest przekaz i za co.

- Skoro tak się starałaś ukryć, co tu teraz robisz? - mówił wciąż bardzo cicho. - Nie sądzę, abyś była całkiem obojętna wobec problemów bezdomnych, ale...

- ...nie jestem na tyle kimś, by znaleźć się na liście zaproszonych - weszła mu w słowo. - Czy o to chodzi?

- To mi w ogóle nie przyszło do głowy - powiedział spokojnie. - Po prostu wydawało mi się, że bardziej zgodne z twoim charakterem byłoby rozdawanie koców na ulicy, a nie picie martini i teoretyczne dyskusje o problemach ludzi bez dachu nad głową.

- Ja też ci się dziwię, Reid. Takie przyjęcia to nie w twoim stylu.

- To nie jest moje przyjęcie - wzruszył ramionami.

- Tak słyszałam - powiedziała sztywno.

- Moja matka chciała coś zrobić. A ponieważ rozdawanie koców zdecydowanie do niej nie pasuje...

- Twoja matka? - Cassidy przez chwilę nie mogła złapać oddechu. - A ja myślałam... - przerwała nagle.

- Że się znów ożeniłem?

Przełknęła ślinę. Zawsze miał wyczucie, czasami wręcz wydawało się, że czyta w jej myślach.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie miałbym się ożenić? Nasz rozwód był absolutnie legalny. Zresztą wiesz o tym.

- Dostałam papiery.

- A kiedy ty wyszłaś za mąż, Cassidy?

- Ja?! - zdumionej Cassidy wyrwał się ten okrzyk, zanim miała czas się zastanowić. Reid uniósł brwi.

- Zmieniłaś nazwisko - powiedział. - C. McPherson...

Potrząsnęła głową, myśląc równocześnie, że przecież nie musi mu się tłumaczyć.

- Zatem to pseudonim?

Mówi to tak, jakby sugerował, że ściga mnie FBI - pomyślała z irytacją.

- C. McPherson to moja przyjaciółka, Chloe - powiedziała w końcu. - Nigdy nie byłam w San Francisco.

- Ani w Minneapolis, jak sądzę - mruknął. - Ani w Atlancie. Ani w... chyba Yankton w Południowej Dakocie, tak to się nazywało? Nie pamiętam.

Najwyraźniej jest mu wszystko jedno, gdzie mieszkam - pomyślała. To cię powinno sprowadzić na ziemię, Cassidy.

- A więc cały czas byłaś tu, w Kansas City.

- W każdym razie przeważnie - odstawiła fotografię na biurko.

Gdy się znów odwróciła, przyglądał jej się uważnie.

Przesuwał wzrokiem od rudych włosów, związanych w węzeł na karku, przez turkusową sukienkę, do smukłych łydek i pantofli, wybranych bardziej dla wygody niż elegancji.

- Jesteś jeszcze szczuplejsza niż dawniej - powiedział.

- Nie jestem teraz w ciąży - ucięła gniewnie. - Oczywiście, że jestem chudsza!

Reid przyglądał się jej bez wyrazu i Cassidy pożałowała wypowiedzianych słów.

- Za to mam dłuższe włosy - dodała.

- Twoim włosom nie potrzeba wiele czasu, by urosnąć.

- To prawda. Dawniej ścinałam je tak krótko, że od tyłu wyglądałam jak chłopak - przytoczyła jego słowa sprzed kilku lat. Niemal pierwsze jego słowa skierowane do niej. Czy on też to pamięta? Czy rzeczywiście jego oczy błysnęły, czy tylko jej się tak wydawało?

- Wciąż mi nie powiedziałaś, dlaczego tu jesteś - przypomniał jej. - Najpierw pomyślałem, że potrzebujesz pieniędzy, ale...

- Absolutnie nie - przerwała ostro. Właściwie dlaczego nie powiedzieć mu prawdy? - Jestem tu służbowo. Pracuję jako reporter dla "Alternative".

W oczach Reida błysnęło zdumienie.

- A więc nie uczysz angielskiego w szkole średniej?

- Próbowałam - Cassidy wzruszyła ramionami. - Ale nie mogłam tam wytrzymać. Wtedy nadarzyła się okazja tej pracy i to mi się spodobało. - Podniosła szklaneczkę i wypila jej zawartość jednym haustem. - Chciałabym przeprowadzić z tobą wywiad, Reid. Twoje poglądy na sytuację mieszkaniową w Kansas City i tak dalej.

Oczekiwała, że odmówi jej natychmiast i zdecydowanie, ale nie zrobił tego.

- Pomyślę o tym - powiedział powoli.

- Bardzo cię proszę. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. - Przez chwilę bawiła się szklanką, potem odstawiła ją zdecydowanie na biurko.

Idź, Cassidy - powiedziała sobie. - Nie przeciągaj tej sceny. Nie dopuść do tego, żeby kazał ci wyjść!

- Dobrze. - W jego głosie zabrzmiała nuta cierpliwej uprzejmości. Najwyraźniej chciał, żeby już sobie poszła.

Nie śpiesząc się, opuściła dom. Szła powoli aż do miejsca, gdzie nie można już było zobaczyć jej z "Chatki". Był to jeden z najtrudniejszych spacerów w jej życiu.

W akademiku panowała cisza. Bramę już zamknięto, tego wieczoru nikt się nie spóźnił. Zdaniem Cassidy, nie było łatwo narzucać reguły zachowania się

młodym kobietom, które w innych warunkach byłyby już zupełnie niezależne. Co ostatecznie można zrobić dziewczynie, która wraca po zamknięciu bramy? Nie pozwolić więcej wychodzić? Poprosić samorząd o wyrzucenie jej z akademika?

Cassidy rozebrała się, zgasiła światło, odsłoniła okno sypialni i siadła na szerokim parapecie.

- Nie udawaj - powiedziała do siebie. - Męczy cię to, że dziewczęta są tak do ciebie podobne: uparte i przekonane o własnych racjach, o tym, że reguły ułożone są dla innych, a ich nie dotyczą. I tak samo jak ja - dodała w myśli - któregoś dnia mogą przekonać się na własnej skórze, że dotyczą ich tak samo, i że w głębi duszy wiedziały o tym cały czas...

Cassidy dostała już swoją bolesną lekcję. Tamtej jesieni ponad cztery lata temu, gdy w kawiarni, w której sobie dorabiała, poznała Kenta Cavanaugh, wszystko wydawało się piękne. Kilka tygodni później przeprowadziła się do niego. Cóż w tym złego? - pytała samą siebie w tych rzadkich chwilach, gdy pozwalała sobie na myślenie. Kochali się. Pobiorą się, gdy tylko Kent skończy studia i nie będzie już tak zależny od rodziny. A tymczasem nie ma sensu cierpieć tylko dlatego, że matka Kenta nie aprobuje jego wyboru. Któregoś dnia przekona się do Cassidy i zaakceptuje ją albo utraci Kenta. Dlatego też Cassidy bez obaw wysłała go na Boże Narodzenie do matki na Wschodnie Wybrzeże, wiedząc, że w następnym roku na pewno będą razem. A w marcu, pierwszego pięknego, ciepłego dnia, Kent wziął motocykl i pojechał na swoją wiosenną przejażdżkę, nie poradził sobie na ostrym zakręcie i spadł z wysokiego nasypu...

Przy drzwiach oddziału intensywnej terapii Cassidy dowiedziała się, że nawet najbardziej kochana dziewczyna nie jest rodziną i nie wolno jej wejść do pokoju pacjenta. Czekala pod drzwiami, zbyt przerażona, by czuć gniew, zbyt obolała, by zadawać pytania. Dopiero gdy Kent zmarł, a Cassidy obserwowała z pewnej odległości, jak jego matka opuszcza szpital wsparta na ramieniu starszego syna, zastanowiła się, czy od Kenta naprawdę oddzieliły ją przepisy szpitalne, czy żądanie Jenny Cavanaugh.

Przekonywała samą siebie, że to nie ma znaczenia. Nieprzytomny Kent i tak nie mógł wiedzieć, czy była przy jego łóżku. Miała jednak poczucie winy i przez chwilę myślała, że jej życie, tak jak i Kenta, zakończyło się w tym wypadku.

Na pogrzeb zaproszono tylko rodzinę, Cassidy mogła więc uczestniczyć jedynie w mszy żałobnej w kaplicy uniwersyteckiej. Pewnie dobrze się stało, że nie była na pogrzebie, bo i tak zemdlala w trakcie egzekwii i kilku przyjaciół musiało wynieść ją na dwór.

Nie wiedziała jeszcze, że spodziewa się dziecka. Sądziła, że złe samopoczucie przez kilka następnych tygodni było spowodowane szokiem. W połowie maja musiała jednak spojrzeć prawdzie w oczy i zastanowić się nad przyszłością, która wyglądała ponuro tak dla niej samej, jak i dla dziecka. Dorywcza praca w kawiarni pozwalała jej się utrzymać. Pożyczka bankowa i stypendium umożliwiłyby skończenie dwóch brakujących lat studiów nauczycielskich. Ale urodzenie dziecka zmieni wszystko. Nie zarabiała dość, by sprostać wydatkom na dwie osoby. Nie uda jej się pracować, studiować i wychowywać dziecko. A bez ukończonych studiów nie było żadnej przyszłości - dla nich obojga.

Dziecko Kenta zasługiwało na lepszy los.

Nie wiedziała, do kogo zwrócić się o pomoc. Jej rodzice umarli tak dawno, że niemal ich nie pamiętała. Jeśli zaś chodzi o ciotkę, która ją wychowała - no cóż, Cassidy mogła sobie doskonale wyobrazić, co ciocia Sandra miałaby do powiedzenia niezamężnej, ciężarnej siostrzenicy.

Zastanawiała się, czy nie napisać do Jenny Cavanaugh, ale odrzuciła ten pomysł. Kobieta, która nawet nie zaprosiła narzeczonej syna na pogrzeb, nie będzie miała dla niej żadnego współczucia.

Cassidy podjęła więc decyzję. Trudną i łamiącą jej serce, ale jedyną możliwą.

Tak wyglądała sytuacja pewnego wieczoru, gdy do kawiarni wszedł Reid Cavanaugh i zajął stolik w obsługiwanej przez nią części. Rozpoznała go, bo widziała go przez moment w szpitalu i na mszy. Niewielu mężczyzn było tak wysokich, tak eleganckich i tak emanujących pewnością siebie. Poza tym jego szpakowata czupryna zapadała łatwo w pamięć.

Z pewnością sprowadził go tu jedynie przypadek - powiedziała sobie Cassidy. Mieszkał przecież w Kansas City, cóż zatem dziwnego, że wstąpił na kawę. Postawiła przed nim szklankę wody i podała menu, tak samo jak wszystkim innym klientom.

- Jesteś Cassidy Adams - powiedział.

W jej bladej i zaskoczonej twarzy musiał wyczytać potwierdzenie. Nie czekał na odpowiedź.

- Kiedy masz przerwę? - spytał.

- Wcale nie mam.

- Więc kiedy kończysz pracę?

- Dlaczego pan pyta, panie Cavanaugh?

- Wiesz więc, kim jestem - powiedział gładko. - Jedno muszę Kentowi przyznać. Z tyłu co prawda wyglądasz jak chłopak...

- Tylko w moje dobre dni - przerwała Cassidy.

Roześmiał się, ale w oczach czaił się cień cynizmu.

- Ale nie jesteś głupia. Zapewne wiesz nawet, o czym chcę z tobą rozmawiać.

Serce biło jej tak mocno, że z trudem łapała oddech.

- Muszę pana rozczarować. Nie mam pojęcia, co moglibyśmy mieć sobie do powiedzenia.

- Nie udawaj idiotki - powoli wypił łyk wody ze szklanki, nie spuszczać z niej oczu. - Chcę wiedzieć, co masz zamiar zrobić z dzieckiem Kenta. Przynieś mi cokolwiek do jedzenia i dzbanek kawy. Nie ma pośpiechu. Zaczekam do zamknięcia, czy do końca twojej pracy.

Na trawniku przed akademikiem Cassidy dostrzegła jakiś cień. Pies? Podglądacz? Cassidy przyglądała się przez dłuższy czas, aż doszła do wniosku, że żaden człowiek nie byłby w stanie tak długo stać bez ruchu.

Z westchnieniem odwróciła się od okna. *Nie bądź głupia* - upomniała się. - *Doskonale wiesz, że nikogo tam nie ma. Tyle tylko, że wolisz stawiać czoło strachom w ciemności, niż własnym wspomnieniom...*

* * *

Dochodziła już północ, gdy skończyła pracę, ale Reid ciągle czekał, pijąc kawę i czytając gazetę. Miała kilka godzin na przemyślenia, więc gdy podeszła do jego stolika, była znacznie spokojniejsza. Może rzeczywiście rodzina Kenta

miała prawo wiedzieć, jaką podjęła decyzję. W każdym razie czekający na nią mężczyzna najwyraźniej był zdecydowany wyciągnąć od niej wszystkie informacje.

- Skończyłam na dzisiaj - powiedziała.

- Wolisz rozmawiać tutaj, czy pójdziemy gdzie indziej? - Odsunął na bok gazetę.

Najwyraźniej musiał odczytać w jej oczach zdziwienie, bo dodał:

- Uważasz, że nie mamy o czym rozmawiać, tak? Ty stawiasz warunki, a ja się pokornie na nie zgadzam. Czy tak to sobie wyobrażasz? - Wskazał jej miejsce po drugiej stronie stolika. - Siadaj.

Siadła, ale tylko dlatego, by nie zwracać uwagi innych kelnerek i kilku pozostałych w kawiarni klientów.

- No cóż, powiedz mi, czego chcesz, Cassidy.

Pomyślała z goryczą, że i tak jej nie uwierzy, ale co szkodzi powiedzieć mu, o czym myśli?

- Dobrego domu dla mojego dziecka. To wszystko. Więc zgłoszę je do adopcji. Teraz pan już wie i może sobie pójść i spać spokojnie - podniosła się, żeby odejść.

- To ułatwia sprawę - powiedział spokojnie.

- Jaką sprawę? - Cassidy zatrzymała się w pół ruchu.

- Kiedy ma się urodzić? - odpowiedział pytaniem.

- A co to pana obchodzi? - zachnęła się, ale nie wytrzymała jego chłodnego wzroku. - W połowie grudnia.

- W grudniu - powtórzył z namysłem. - Czy rozmawiałaś już z agencją, zajmującą się adopcjami?

- Owszem. Powiedzieli mi, że setki ludzi czekają na dziecko, które mogliby zaadoptować. Dadzą mu miłość, bezpieczeństwo i dobre wykształcenie...

- ...i będą je potwornie rozpieszcząć - wpadł jej w słowo. - Niektórym tak zależy na dzieciach, że zagłaskują je na śmierć, robią z nich rozwydrzone, samolubne bachory, które dostają wszystko, cokolwiek im się zamarzy.

- To się zdarza nie tylko z adoptowanymi dziećmi.

- To prawda - powiedział. - Weź na przykład Kenta...

- Nie mówmy o Kencie! - przerwała mu ostro. Zaciśnęła na chwilę powieki, żeby się uspokoić, i kontynuowała już łagodniej. - Myślałam o tym. Ale muszę podjąć to ryzyko.

- Jednak nie daje ci to spokoju - powiedział i siedział przez długą chwilę w milczeniu. - No, ale poza tym pokryją wszystkie twoje wydatki związane z porodem.

- Uważa pan, że to jest nie w porządku? Gdybym mogła sobie na to pozwolić, nigdy w życiu nie przysłoby mi do głowy oddanie dziecka!

- I nigdy już nie będziesz musiała go widzieć, i nie będzie ci przypominać...

- To obrzydliwie z pana strony mówić takie rzeczy - przygryzła wargę. - Więc pan sądzi, że tak łatwo przyszło mi podjąć tę decyzję? Po prostu nie mam innego wyboru. Skazywanie dziecka na takie życie, jakie byłabym w stanie mu zapewnić, nie wydaje mi się przejawem miłości.

- Mogłaś zwrócić się do mnie.

- Do pana? - Jej głos był piskliwy i zdradzał zdumienie. - Do pana, gdy pan i pańska matka nie dopuściliście mnie nawet do Kenta, gdy umierał? I pan się spodziewał, że zwrócę się do was o pomoc, bym mogła zatrzymać jego dziecko?

- To nie było tak.

- A zatem o co właściwie panu chodzi?

- Przede wszystkim... - pochylił się nad stołem. - Może napijesz się kawy albo czegoś innego?

- Nie. Po kawie rano gorzej się czuję.

- Zatem mleko. - Rozejrzał się za kelnerką i zamówił, zanim Cassidy miała czas zaprotestować.

Gdy przyniesiono jej mleko, odsunęła szklanekę na bok, o mało jej nie przewracając.

- A więc?

- Przede wszystkim musisz zrozumieć, że nie miałem pojęcia o tym, że siedzisz pod drzwiami jego pokoju w szpitalu.

- A czego się pan spodziewał? - spytała sucho. - Że gdzie jestem - na tańcach?

- Psiakrew, nie rozumiesz? W ogóle nie wiedziałem o twoim istnieniu. Dopiero gdy cię wynieśli z kaplicy podczas mszy żałobnej, zdałem sobie sprawę, że od dawna nie słyszałem od Kenta o żadnych miłosnych przygodach. Wtedy zacząłem się rozpytywać...

- Naprawdę pan sądzi, że w to uwierzę? Pańska matka wściekła się na wiadomość, że Kent chce się ze mną ożenić...

- Jeśli nawet to prawda, nigdy mi o tym nie powiedziała. - Cyniczny błysk w jego oczach pogłębił się.

- Nie wierzy mi pan, prawda? - spytała cicho. - Nie wierzy pan, że Kent chciał się ze mną ożenić.

- Jakie to teraz ma znaczenie?

Utkwiła wzrok w swoich dłoniach z krótko obciętych paznokciami i skórą zaczerwienioną od codziennego używania detergentów. Kent mówił, że z następnego kieszonkowego kupi jej pierścionek...

- Żadne, jak sądzę - szepnęła.

Przez dłuższą chwilę bawił się filiżanką. Potem podniósł wzrok.

- Ja chcę to dziecko, Cassidy.

- Pan?! - Nie mogła opanować zaskoczenia.

- Pomyśl tylko. Chcesz dla dziecka bezpiecznego, pewnego domu, wykształcenia, rodzinnej miłości. Ja też, ale chcę, żeby to była jego własna rodzina.

- Co na to powie pańska matka?

- Nie rozmawiałem z nią na ten temat. To nie jej sprawa.

Cassidy uniosła brwi. Z tego, co mówił Kent wynikało, że zdaniem Jenny Cavanaugh wszystko było jej sprawą.

- Obiecuję ci, że będę o nie dbał i kochał, a nie rozpieszczał i psuł. Obiecuję, że wychowam je na uczciwego człowieka, i że dowie się o poświęceniu swojej matki.

- Pan chce, żebym je tak po prostu panu oddała? - Cassidy z trudem odzyskała głos.

Rysował łyżeczką wzory na obrusie.

- I tak je komuś oddasz, Cassidy - przypomniał jej cicho. - Dlaczego więc nie ma mieć własnej rodziny? Własnego nazwiska?

Oparła łokcie o stół i schowała w dłoniach twarz. Reid Cavanaugh nie bardzo jej się spodobał, ale czy można mu mieć za złe to, co chce zrobić? Chodziło o dziecko jego brata. Agencja na pewno znajdzie dziecku dobry dom, ale czy nie lepiej będzie mu z własnym stryjem?

To nie będzie tak, jak z ciocią Sandrą. Ciocia Sandra nigdy jej nie chciała, a Reid Cavanaugh je chce.

Co więcej, w ten sposób będzie wiedzieć, co się z jej dzieckiem dzieje, gdzie jest i kim jest. Agencja by na to nie zezwoliła...

To egoizm - powiedziała sobie. - Chodzi o to, co jest lepsze dla dziecka. Gdybym była tym dzieckiem i któregoś dnia dowiedziała się, że moja matka miała wybór i nie oddała mnie rodzinie, jak bym się czuła?

Nie podniosła głowy.

- Dobrze - szepnęła. - Zgadza się.

- Uważam, że to mądra decyzja. - W jego głosie wcale nie było triumfu. - Jutro złożysz wypowiedzenie. Nie chcę, żebyś tak ciężko pracowała.

Pewny siebie ton jego głosu sprawił, że cała się zjeżyła.

- A co to pana obchodzi? Z czego niby mam żyć?

- Będę opłacał wszystkie twoje wydatki. - Patrzył na nią zmrużonymi oczyma. - Nie bądź głupia. Ten rodzaj pracy na pewno nie służy dobremu rozwojowi dziecka.

Cassidy spuściła głowę. Miał oczywiście rację.

Jej milczenie przyjął za zgodę.

- Została już tylko jedna sprawa do omówienia - powiedział. - Sam proces adopcyjny. Mówiłaś, że już porozumiewałaś się z agencją.

- Niczego jeszcze nie podpisywałam, na to jest za wcześnie.

- To dobrze. Rozumiesz jednak, że mogę mieć różne problemy. Będę samotnym ojcem, a niektóre osoby w sądach rodzinnych zdecydowanie tego nie popierają.

- Jestem pewna, że da sobie pan z tym radę.

- Co więcej, ludzie z agencji powiedzieli ci zapewne, że zachowujesz niektóre prawa rodzicielskie aż do czasu po urodzeniu dziecka. Jeśli w międzyczasie zmienisz zdanie...

Potrząsnęła głową. Była straszliwie zmęczona i nie miała już nawet siły, by się spytać, dokąd jego zdaniem miałyby uciec z noworodkiem.

- Chciałbym mieć gwarancję, że się nie wycofasz, Cassidy.

- Co tylko pan uważa za konieczne - wzruszyła ramionami. - Ale zapewniam, że nie ma takiej potrzeby.

Nie spuszczał z niej wzroku.

- W takim razie wszystko załatwię.

Coś w jego tonie sprawiło, że podniosła wzrok i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Co takiego ma pan na myśli?

- To bardzo proste. Mój adwokat tak mi doradził. Rozwiązuje to cały problem adopcji dzięki stworzeniu regularnej komórki rodzinnej.

Patrzyła na niego bez słowa. W końcu westchnął i wyjaśnił:

- Chodzi mi o formalne małżeństwo, Cassidy. Jako twój mąż, w oczach prawa będę ojcem dziecka... - Dostrzegł szok w jej twarzy i szybko dodał: - Na miłość boską, dziewczyno, nie proponuję, żebyśmy ze sobą spali! Ani nawet, żebyśmy razem mieszkali. Chcę tylko być pewien, że dziecko znajdzie się pod moją opieką, że wszystko przejdzie możliwie gładko... - przerwał na chwilę i dodał miękko: - I to oznacza, że nie będzie nieślubnym dzieckiem.

- Co to ma za znaczenie? - powiedziała gorzko. - W obecnych czasach...

- Wydaje mi się, że dla ciebie to ma znaczenie. Bardzo starałaś się mnie przekonać, że Kent chciał się z tobą ożenić.

Wpatrywała się w swoje zaciśnięte na brzegu stołu dłonie.

- Zgodziłaś się już na wszystkie istotne sprawy, Cassidy - głos Reida wwiercał się w jej mózg. - Czemu więc teraz się zapierasz? Przecież to tylko formalność, dla dobra dziecka. Kilka miesięcy...

- Nie - przerwała. - Nigdy.

Wydawał się jej nie słyszeć.

- Zobaczysz, że tak będzie najlepiej. Wypij mleko - powiedział rozkazująco. - A potem odwiozę cię do domu. Potrzebujesz teraz jak najwięcej snu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cassidy wyszła w końcu za mąż za Reida, dla dobra dziecka i - jak musiała uczciwie przyznać - dla własnego spokoju. Cały czas gdzieś w głębi duszy wiedziała, jak bardzo trudno będzie jej całkowicie wyrzec się dziecka, zerwać wszystkie więzy, nie znać nawet jego imienia i nie wiedzieć, czy jest zdrowe i pogodne. Starła się o tym nie myśleć i przekonywała samą siebie, że

w miarę upływu czasu pogodzi się z sytuacją, a gdy nadejdzie moment oddania dziecka, znajdzie w sobie, dość siły, ponieważ chodzi o jego dobro.

Jednakże gdy podsunęto jej inne rozwiązanie...

Reid nie obiecywał wiele. Chciał mieć dziecko swojego brata i może czuł się w jakiś sposób zobowiązany wobec matki tego dziecka. Uczciwie powiedział, co chce jej zaoferować, a czego ma się nie spodziewać. Co roku będzie jej przysyłał fotografię dziecka i opis jego rozwoju, a także czek na dziesięć tysięcy dolarów, w zamian żądając dotrzymania warunków umowy.

Wtedy właśnie powiedziała coś o kupowaniu dziecka i natychmiast przekonała się, że Reid Cavanaugh potrafi być naprawdę wściekły. Przestraszył ją gniewny błysk w jego oczach, zaciśnięte szczęki, napięta, zbieła linia warg. Zupełnie nie przypominał Kenta, który w gniewie wybuchał, klął i ciskał przedmiotami. Dla niej bardziej przerażający był zimny gniew Reida.

Potem nagle Reid rozluźnił się i sięgnął po jej dłoń.

- Rozumiem, że się boisz, Cassidy i martwisz, czy postępujesz właściwie - powiedział spokojnie. - Ale ja nie kupuję twojego dziecka! Doszliśmy do porozumienia, zanim którekolwiek z nas wspomniało o pieniądzach.

Zobaczył, że drżą jej wargi i dotknął ich lekko palcem, dodając łagodnym głosem:

- To wcale nie jest tak dużo, pieniądze stale tracą na wartości. A tobie będzie potrzebny każdy grosz.

To była prawda. Ugryzła się więc w język i pozwoliła mu otworzyć w banku specjalne konto, na które pierwszy czek wpłynął w dniu, gdy sędzia ogłosił ich mężem i żoną. A może raczej należało ich związek określać tak, jak zrobił to Reid podczas pierwszej rozmowy: "regularna komórka rodzinna".

Przysięgała sobie, że będzie korzystać z jego pomocy tylko tak długo, jak będzie to absolutnie konieczne, że potraktuje to jako pożyczkę do spłacenia, bo każde inne rozwiązanie byłoby w jej oczach jednak sprzedażą dziecka.

I tak właśnie postąpiła. W maju nareszcie skończyła studia. Pierwszego czerwca, zanim wpłynął coroczny czek, zlikwidowała konto. Każdy grosz z pozostałych jej pieniędzy Reida wzięła ze sobą do Chicago i nadała pierwszy przekaz. Od tego czasu co miesiąc wysyłała mu jakąś sumę. Tak będzie, aż spłaci wszystko, co jest mu winna.

Nad jej głową coś trzasnęło, jakby stary dom układał się do snu. Najwyższa pora iść spać. Głowa Cassidy opadła na poduszkę, a światło księżyca musnęło jej policzek.

Gdy następnego dnia rano Cassidy dotarła do pracy, poranne wydanie "Alternative" leżało na biurku. Na dole pierwszej strony widniał jej artykuł o problemach mieszkaniowych w Kansas City. Wyjaśniał w przystępny sposób trudności, na jakie napotykali młodzi ludzie, którzy pragnęli kupić dom, ale nie mogli sobie na to pozwolić, bo nawet najniższe ceny i tak były dla nich za wysokie.

Ludzie, z którymi na ten temat rozmawiała, byli otwarci, szczerzy i niczego nie ukrywali, toteż gotowy artykuł czytało się dobrze. Kilka następnych z tamtej serii było gotowych i czekało na swoją kolej. Wspaniale by było, gdyby mogła na koniec dać wywiad z Reidem Cavanaugh...

Przeglądając pocztę, zerknęła na drzwi biura Briana. Spodziewała się, że wezwie ją, by dowiedzieć się o przebiegu przyjęcia, ale najwyraźniej nie był tym zainteresowany. Nagle przypomniała sobie, że w końcu nie porozmawiała z kierowniczką imprezy - po rozmowie z Reidem wyleciało jej to z głowy.

Udało jej się właśnie złapać telefonicznie właściwą osobę i zadać pierwsze pytanie, gdy kątem oka zarejestrowała ruch przy recepcji. W tym samym momencie wysoki, szpakowaty mężczyzna ruszył ku niej od biurka recepcjonistki.

Cassidy z trudnością skupiła się na zadawaniu pytań i notowaniu odpowiedzi. Reid zbliżył się spokojnym krokiem i usiadł w stojącym naprzeciw starym, metalowym krześle. Rozejrzał się wokół, najwyraźniej zafascynowany panującym w redakcji ruchem.

Cassidy przeciągała rozmowę, ale w końcu nie miała więcej pytań. Odłożyła słuchawkę.

- Czym ci mogę służyć? - powiedziała, podnosząc wzrok.

Reid uśmiechnął się wesoło.

- Dzień dobry, Cassidy.

Nie mogła nie odpowiedzieć na powitanie ani powstrzymać uśmiechu. *Zawsze udawało mu się przeprowadzić swoją wolę* - pomyślała. - *Pewnie w ten sam sposób wymuszałby posłuszeństwo na Czekoladce...* Szybko postarała się skupić myśli na czym innym. Nie było sensu się roztkliwiać.

- Dzień dobry, Reid - odpowiedziała. - A skoro formalności mamy już za sobą... Czyżby twoje przybycie tutaj oznaczało zgodę na wywiad?

- Nie - odrzekł, wciąż z zainteresowaniem przyglądając się długim rzędom biurk.

Cassidy zdecydowała, że nie będzie bawić się z nim w kotka i myszkę.

- A zatem? Jeśli chcesz załatwić prenumeratę, powinieneś zwrócić się do szefa dystrybucji, przy samych drzwiach. A jeśli chodzi o umieszczenie reklamy, właściwe biuro jest tam - machnęła ręką w stronę odległego kąta sali, po czym przyciągnęła do siebie klawiaturę komputera i zaczęła redagować wyświetlony na ekranie tekst.

- Nie powiedziałem, że nie zgadzam się na wywiad. Chodziło mi o to, że się jeszcze nie zdecydowałem - powiedział Reid. - Postanowiłem przyjść i zobaczyć, dla jakiej gazety pracujesz.

- Na ogół... - ugryzła się w język. Reid nie był takim zwyczajnym źródłem informacji. Ani przez chwilę nie przypuszczała, że zrobi z nim w końcu wywiad, ale póki nie odmówił wyraźnie, nie mogła go po prostu wyrzucić za drzwi. - Czy chcesz, żebym cię oprowadziła?

- Jeśli masz czas... - Wstał szybko z krzesła.

- Nie mam dziś nic ważniejszego do roboty - mruknęła. Reid uśmiechnął się pod nosem, ale nic nie powiedział.

Cassidy prowadziła go po różnych działach i stopniowo jej podejrzenia malały. Reid najwyraźniej był rzeczywiście zainteresowany funkcjonowaniem redakcji gazety.

Powiedziała mu, że w budynku mieścił się dawniej supermarket. Teraz ogromną przestrzeń, zajmującą niemal połowę budynku, wypełniały rzędy

biurek. Gdzieś tam przenośnymi ściankami wydzielono jakiś Kąt, ale większość reporterów pracowała w wielkiej sali.

- Chyba trudno tu się skoncentrować - powiedział Reid.

- Można się przyzwyczaić. W każdym razie nasze Komputery są ciche. Gdybyśmy ciągle używali starych maszyn do pisania, pewnie byśmy ogłuchli. Wydawca obiecuje, że w przyszłym roku wszyscy dostaniemy oddzielne pokoje.
- Cassidy wzruszyła ramionami. - Co prawda, mówi nam to już od trzech lat, więc...

- Gazeta nie prosperuje dobrze?

Spojrzała na niego spod oka, ale ostatecznie pytanie było niewinne.

- Bardzo dobrze. Tyle tylko, że początki zawsze wymagają ogromnych nakładów, szczególnie, jeśli na rynku ma się już konkurencję o ustalonej renomie... - pokręciła głową. - Poza tym w miłym biurze reporter może się czuć dobrze albo źle, ale z punktu widzenia czytelnika to nie ma znaczenia. W tej chwili raczej inwestujemy w większą liczbę reporterów, żeby gazeta była lepsza.

- Świetny z ciebie akwizytor. To brzmi, jakbyś była współwłaścicielką.

- Wszyscy pracownicy są akcjonariuszami. Drobnymi, ale... - Cassidy wzruszyła ramionami. - Może kiedyś dywidendy wystarczą mi na poranną kawę.

- Czy pracujesz tu od początku działania gazety?

- Prawie. Pracowałam tu dorywczo jeszcze podczas studiów, a kiedy skończyłam naukę, akurat potrzebowali reportera. Więc zostałam. - Otworzyła drzwi prowadzące do tylnej części budynku i pokazała Reidowi ciemną, nieurządzoną salę. - Mamy też dostać własne maszyny drukarskie. Ale ponieważ kompletne wyposażenie kosztuje setki tysięcy dolarów, chyba jeszcze na nie poczekamy.

- I to dość długo, jak sędzę - mruknął Reid.

- Prawdopodobnie. Tymczasem robimy na miejscu, co tylko się da, a potem wysyłamy do drukarni na przedmieściu Kansas City.

Wrócili do sali reporterów. Cassidy zaczerpnęła powietrza i zapukała do biura Briana.

- Poznaj naszego naczelnego redaktora.

Przez moment Brian wyglądał jak chmura gradowa, ale gdy tylko dostrzegł mężczyznę za plecami Cassidy, natychmiast połapał się i popatrzył na nią z uznaniem.

- Pan Cavanaugh zastanawia się, czy udzielić mi wywiadu, Brian - powiedziała Cassidy pośpiesznie, żeby jej szef przypadkiem z czymś nie wyskoczył.

- Świetnie! - wykrzyknął Brian. - To będzie wspaniały artykuł! Temu miastu przydałoby się więcej przywódców z jakąś wizją przyszłości, a nasza gazeta jest zawsze na ich usługi.

Dość tych pochlebstw, Brian - pomyślała Cassidy ze zniecierpliwieniem. Zauważyła, że kącik ust Reida drgnął i była pewna, że stara się powstrzymać śmiech. *Skąd wiem o nim takie rzeczy* - zdumiała się.

Ktoś zapukał do drzwi i Cassidy westchnęła z ulgą.

- Na razie, Brian. Skończę oprowadzać pana Cavanaugh.

- Cieszę się, że pana poznałem - Brian wyciągnął rękę do Reida i dodał, zwracając się do Cassidy: - Zaproś pana Cavanaugh na obiad. Na rachunek firmy.

Mało nie jęknęła głośno.

- To wyglądało na polecenie służbowe - powiedział Reid, wychodząc za nią z biura.

- Nie traktuj tego serio, Reid. Brian jest nieco...

- Ależ nie chciałbym, żebyś miała kłopoty z szefem, Cassidy. Masz jakiś płaszcz? - wyciągnął jej torebkę spod biurka. Zanim się zorientowała, wyprowadził ją z redakcji i usadził na przednim siedzeniu lincolna.

Zauważyła, że samochód był nowiutki - ciemnoniebieski, z miękką, skórzaną tapicerką. Rozsiadła się wygodniej i westchnęła.

- Jeśli naprawdę nie chcesz, bym miała kłopoty z szefem, udziel mi tego wywiadu.

- Przecież nie powiedziałem "nie".

- Nie powiedziałaś także "tak".

Uśmiechnął się.

- Pojedziemy na obiad do "Felicity's"?

- Daj spokój! Fundusz reprezentacyjny "Alternative" nie jest aż tak okazały!

- Nie przejmuj się. Obiad pójdzie na mój rachunek, a Brian nie będzie miał ci tego za złe.

- Będzie, jeśli mi nie dasz wywiadu.

- Ależ z ciebie pesymistka, Cassidy. - Reid wyjechał na autostradę.

Na szosie minął ich jadący z ogromną szybkością motocykl, który zajeżdżał im drogę tak nagle, że Cassidy gwałtownie schowała twarz w dłoniach. Reid zahamował ostro, a gdy już wszystko było w porządku, spojrzał na nią.

- Wciąż cię to boli.

- Już nie tak, jak dawniej - Cassidy wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Tylko że ludzie jeżdżą jak wariaci.

- To nie był jego pierwszy rozbity motocykl - powiedział Reid po dłuższej chwili. - Po prostu przedtem miał więcej szczęścia.

Cassidy nie odpowiedziała, a Reid zaczął mówić o "Alternative". Przez resztę drogi rozmawiali o sprawach gazety.

"Felicity's" była jedną z dziesięciu najlepszych restauracji w Kansas City. Miejsce trzeba było tam rezerwować o wiele wcześniej. Cassidy jednak nie była zdziwiona, gdy zaprowadzono ich od razu do stolika w cichym kąciku. Nie wiedziała tylko, czy Reid to wszystko zaplanował i zrobił rezerwację, czy też zawsze go tak przyjmowano.

Reid zamówił coś u kelnera, gdy Cassidy studiowała kartę. Po chwili pojawiło się przed nią martini.

- Mają tu wspaniałą sałatkę z frutti di mare - powiedział Reid.

- Chętnie spróbuję - odrzekła, podając mu kartę i rozglądając się wokół. - Zmienili wystrój - dodała, żeby nie myślał, że jest tu po raz pierwszy.

- Najwyraźniej uważają, że trzeba co roku coś zmieniać. Mnie się tu dawniej bardziej podobało.

- Nie lubisz zmian, prawda? Zauważyłam, że "Chatka" jest dokładnie... - przerwała nagle, po czym ciągnęła z determinacją: - Mam nadzieję, że przeczytasz mój artykuł w dzisiejszej gazecie.

- Już przeczytałem - powiedział obojętnie. - Czy ten bezosobowy podpis wybrałaś z myślą o mnie? W razie gdybym kiedyś wziął do ręki "Alternative"?

Oczywiście, tak właśnie było, ale nie miała zamiaru się do tego przyznawać.

- To chyba było rozsądne. W Kansas City może być wiele ludzi o nazwisku CR. Adams, ale Cassidy jest zdecydowanie rzadsze. W gruncie rzeczy - powiedział z namysłem - w ciągu ostatnich paru lat stałaś się zdecydowanie bardziej...

- Co sądzisz o moim artykule? - przerwała mu.

- Uważam, że jest bardzo interesujący.

Zapadło przeciągające się milczenie. *Nie powinnaś czuć się rozczarowana* - powiedziała sobie, ale mimo to spytała:

- Tylko tyle? Interesujący?

- A co mam powiedzieć? - Kelner przyniósł zamówione sałatki. Reid wziął widelec i ciągnął dalej: - Powiem ci swoją opinię, kiedy przeczytam pozostałe. Ile ich będzie?

- Kilka, w ciągu najbliższych tygodni. Może lepiej zaprenumeruj naszą gazetę.

- Chyba powinienem - mruknął. - Nie chciałbym przegapić niczego, co masz do powiedzenia. Czy zawsze tak osobiście angażujesz się w temat? Dzisiejszy artykuł wyrażał zdecydowane współczucie wobec problemów mieszkaniowych młodych ludzi. Zupełnie tak, jakby to i ciebie dotyczyło.

- Wolałbyś, żebym ograniczyła się do suchych faktów?

- Tego nie powiedziałem.

- Ja nie piszę artykułów o suchych faktach. I rzeczywiście im współczuję. Sama nie mam takich problemów, ale...

- Ale tylko dlatego, że nie próbowałaś kupić domu?

- A jaka to różnica, czy próbowałam, czy nie?

- Żadna, jak sądzę - wzruszył ramionami.

- A co ty o tym sądzisz? - zaatakowała go. - Czy nie myślisz nigdy o ludziach, którzy chcieliby mieć dom, ale nie mogą sobie pozwolić na żadną z tych rzeczy, które ty budujesz?

- Chcesz usłyszeć moje prywatne zdanie? Nie do publikacji?

Cassidy westchnęła.

- Nieważne. Zostawmy to. - Wbiła widelec w krewetkę.

- Gdzie teraz mieszkasz, Cassidy? Nie zarabiasz chyba dużo, a jeszcze te przekazy pieniądze...

- Nie musisz martwić się o moje finanse, Reid - powiedziała cicho.

- Nie martwię się. Po prostu jestem ciekaw.

Masz nauczkę - powiedziała sobie. - Czy sądziłaś, że zaczniesz błagać, byś przyjęła jego pomoc?

- Nie wypijałaś swego martini - rzekł Reid. - Nie smakuje ci?

Była zdenerwowana, więc prawda wymknęła jej się sama.

- Nigdy nie piję koktajli.

Uniósł wysoko brwi.

- Ale wczoraj wieczorem...

- To taki chwyt, którego nauczył mnie Brian. Reporterowi łatwiej rozmawiać z ludźmi na przyjęciu, gdy trzyma w ręku szklaneczkę, ale w środku jest woda, a nie alkohol. Na ogół piję sok pomarańczowy, a ludzie zakładają, że jest w nim wódka. Ale wczoraj miałam ochotę na oliwki.

Milczał tak długo, aż poczuła się nieswojo.

- Powinienem był wiedzieć, że nie zaczęłaś pić - powiedział w końcu i kiwnął na kelnera. - Może wolisz coś innego?

- Nie, dziękuję. Później napiję się kawy.

Reid podał jej gorące bułeczki ze stojącego koło jego łokcia koszyka.

- Moja matka oświadczyła dziś rano, że chciałyby cię poznać.

Cassidy o mało nie zakrztusiła się krewetką.

- Czemu...?

Właściwie nie musiała pytać. Każdy z odrobiną intuicji sam znalazłby odpowiedź. Jenna Cavanaugh najwyraźniej pragnęła ocenić osobiście, czy Cassidy przedstawiała sobą jakąś groźbę dla rodziny i czy ma zamiar znowu sprawiać kłopoty.

- Pomogłoby mi to wybrnąć z trudnej sytuacji - przyznał Reid.

Co znaczy - przetłumaczyła sobie Cassidy - *że gdy mnie zobaczy, przestanie suszyć mu głowę...*

- Jeśli to dla ciebie taki problem, po co jej mówiłeś, że byłem u ciebie wczoraj wieczór?

- Skąd wiesz, że jej powiedziałem? Sama potrafi dowiedzieć się, kto był na jej przyjęciu. A jeśli chodzi o te pół godziny, które spędziliśmy sami w jej saloniku...

- Więc o tym też wie? Pewnie myśli, że próbowałam cię szantażować.

- Zapewne przyszło jej to do głowy - powiedział, ale nie wyglądało, by się tym przejął. - Może zjesz z nami kolację któregoś dnia?

- Niestety nie - odrzekła Cassidy z zimną uprzejmością. - Obecnie mam bardzo mało wolnego czasu. Powiedz jej jednak, jak mi przykro, że nie dane mi będzie jej spotkać podczas jej pobytu tutaj.

- To dość słaba wymówka. - Głos Reida był bardzo łagodny. - Matka nie przyjechała na kilka dni. Czy nie zorientowałaś się, że mieszka teraz u mnie?

No jasne! Inaczej przecież nie włączałyby się w życie miejscowej społeczności do tego stopnia, żeby wydawać dobroczynne przyjęcia. Cassidy skarciła się w myśli za taką niedomyślność.

- Może w najbliższy weekend?

- Reid, czy możesz mi podać choć jeden powód, dla którego miałabym przyjść na kolację do twojej matki?

Reid uśmiechnął się.

- A czy ty możesz mi podać choć jeden powód, dla którego miałbym się zgodzić na wywiad? Wiesz, że nie potrzebuję rozgłosu. Moje działania mówią same za siebie. W każdym zbudowanym przeze mnie bloku mieszkania sprzedają się błyskawicznie, bez żadnej reklamy. A jeśli mój blok się zawali, żadna kampania reklamowa go nie uratuje. A zatem...

- I kto tu kogo szantażuje? - spytała gorzko.

Wciąż uśmiechał się łagodnie i niewinnie.

- A zatem w niedzielę o siódmej? Twój szef daje ci chyba od czasu do czasu wolne? A może zamyka cię w szufladzie biurka? - strzelił palcami. - No pewnie! W ten sposób nie potrzebujesz żadnego mieszkania, więc masz mnóstwo forsy...

- To moja sprawa, na co wydaję swoje pieniądze. - Cassidy miała zdecydowanie dość.

- I mam się nie wtrącać w to, co robisz z moimi pieniędzmi? - spytał Reid.

Cassidy przygryzła wargi.

- Dlaczego odsyłasz mi forszę, Cassidy?

- Sądzę, że ty, właśnie ty, powinieneś to rozumieć. Właśnie dlatego, że to są twoje pieniądze, Reid. Przecież nie ja je zarobiłam.

Zapanowało długie milczenie.

- Wszyscy lekarze stwierdzili, że poronienie nie było twoją winą, Cassidy - powiedział w końcu sztywno.

- Ale ty im nigdy do końca nie uwierzyłeś, prawda? - Cassidy złożyła serwetkę trzęsącymi się rękoma.

- Skąd wiesz, w co uwierzyłem? - spytał cicho. - Nie zaczekałaś nawet na mój powrót. Po prostu spakowałaś się, wyprowadziłaś i zniknęłaś.

- I oszczędziłam nam obojgu krępującej sytuacji. Wszystko się skończyło. Nic już nie mogło przywrócić życia dziecku. A teraz naprawdę muszę wracać do pracy.

- Nie wypijałaś kawy...

- I nie uzyskałam obietnicy wywiadu, na co liczył Brian, wysyłając mnie z tobą. A ja nie mam już ochoty bawić się w kotka i myszkę, Reid. Jeśli się zdecydujesz ze mną porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać. Jeśli nie - to daruj sobie przychodzenie do redakcji.

Droga powrotna minęła im w całkowitym milczeniu. Cassidy poinformowała Briana, że ma takie same szanse na uzyskanie wywiadu, jak na zostanie następnym papieżem i wyszła z biura, zanim zdążył zażądać wyjaśnień.

Pogrążyła się w pracy, w ten sposób usuwając z pamięci wszystkie niechciane wspomnienia, ale wieczorem, gdy przyszła do akademika, przeszłość wróciła do niej nową falą. Bezcelność tego człowieka, który spodziewał się, że jeszcze teraz grzecznie zgodzi się poddać przesłuchaniu, prowadzonemu przez jego matkę, przekraczała wszelkie wyobrażenia.

Przedtem nigdy nie planował jej spotkania z Jenna Cavanaugh, a w każdym razie nigdy o tym nie wspominał. O ile wiedziała, Jenna nie została nawet poinformowana, że będzie babcią. Cassidy nie przejmowała się tym zbyt, choć czasami zastanawiała się, czy Reid chce poczekać aż do narodzin dziecka. Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Nie wiedziała, czy Jenna rozczuli się, że coś pozostało po jej zmarłym synu, czy wścieknie się, że dziecko Cassidy wejdzie do rodziny. Jej i tak miało już wówczas nie być w pobliżu.

W początkach tamtego upalnego lata starała się w ogóle o niczym nie myśleć. Myślenie przywoływało zbyt bolesne refleksje. Brakowało jej pracy, która przynajmniej organizowała dzień. Siedziała głównie sama w malutkim mieszkanku, do którego przeniosła się po śmierci Kenta.

Reid odwiedzał ją przynajmniej dwa razy na tydzień. Czasem wychodzili razem coś zjeść, czasem szli na spacer. Zgodnie z obietnicą nie stawiał żadnych innych żądań.

Pewnego popołudnia wpadł niespodziewanie z torbą pełną zakupów. Gdy otworzył lodówkę, zobaczył, że w środku jest jedynie mleko i nietknięta główka sałaty.

- Czy jadłaś dziś obiad poza domem? - spytał.

- Nie - odpowiedziała, wpatrzona w telewizor.

- A czy w ogóle coś jadłaś?

Spojrzała na niego i odrzekła zgodnie z prawdą:

- Nic mi nie smakuje.

Wtedy właśnie po raz drugi zobaczyła wściekłego Reida Cavanaugh i mogła stwierdzić, że w porównaniu z tym atakiem, pierwszy był kaszką z mlekiem.

Zdecydowanym ruchem wyciągnął spod jej łóżka walizkę i zaczął wrzucać do niej ubrania Cassidy. To w końcu przywołało ją do rzeczywistości.

- Co robisz?!

- Zabieram ciebie i wszystko, co posiadasz, do "Chatki", gdzie mogę pilnować twojego odżywiania się. Ty sama możesz sobie iść do diabła i zagłodzić się na śmierć, ale dopiero w drugiej połowie grudnia! - Skończył pakowanie w lodowatym milczeniu, a gdy zwrócił się ku niej, szarpnęła się gniewnie.

- Nie możesz mnie stąd zabrać wbrew mojej woli! Będę krzyczeć!

- W tej dzielnicy nic ci to nie pomoże!

Miał oczywiście rację, więc pozwoliła się wyprowadzić i wsadzić do samochodu. Pamiętała, że wtedy też miał lincolna, tyle że kremowego. Zawiózł ją do domu w Mission Hills, wprowadził do środka i zostawił w holu, podczas gdy sam poszedł po gospodynię. Pani Miller była pulchną, macierzyńską małą kobietką, która cmokała nad Cassidy i gotowała jej niezliczone ilości malutkich, niezwykle smacznych danek.

Po tygodniu Cassidy poczuła się znacznie lepiej. Nie wiedziała, czy przyczyną tego było jedzenie, opieka pani Miller czy cała atmosfera "Chatki". Pewnego ranka nawet roześmiała się głośno na widok wiewiórek biegających po tarasie. Reid odłożył wtedy gazetę i przyjrzał się jej uważnie. Od tego czasu często jedli śniadanie na powietrzu, a Cassidy cierpliwie przekupywała wiewiórki różnymi smakołykami, aż zupełnie się oswoiły i wyjadały jej orzeszki z ręki.

To dziwne, ale jednak było to szczęśliwe lato, pomimo poprzedzającej je tragedii i bólu, który miał nastąpić. Cassidy nie pozwalała sobie myśleć o przyszłości. Tymczasem jej policzki wypełniły się, skóra stała się gładka i jakby świetlista, a włosy urosły i układały w kędziorki. W dzień jej dwudziestych pierwszych urodzin Reid zabrał ją do teatru na sztukę, którą od dawna chciała zobaczyć. Tego samego wieczoru poczuła pierwsze słabe ruchy dziecka. Płakała ze szczęścia, choć równocześnie bała się, jakby ta chwila była zbyt cenna, by mogła trwać...

I rzeczywiście nie trwała. Dziesięć dni później, gdy Reid był w Waszyngtonie na konferencji na temat nowych norm dla przemysłu budowlanego, Cassidy obudziła się w środku nocy z bólem brzucha. Nim upłynął następny dzień, już było po ciąży. Lekarze nazwali to naturalnym poronieniem. Nie było żadnych wyraźnych przyczyn, choć oczywiście szok po śmierci Kenta i początkowe, stałe niedojadanie...

W pewnym sensie utrata dziecka była gorszym ciosem niż śmierć Kenta. Cassidy leżała w szpitalnym łóżku milcząca, blada i zagubiona.

Dopiero po dziesięciu godzinach udało się znaleźć Reida. Natychmiast zadzwonił do szpitala i powiedział Cassidy, że wraca pierwszym porannym samolotem do Kansas City.

- Nie trzeba - powiedziała mu. - Nic już nie możesz zrobić. Lepiej zostań i skończ swoje sprawy.

W słuchawce zapanowała długa cisza.

- Porozmawiamy, jak tylko wrócę do domu, Cassidy - powiedział w końcu. - Dbaj o siebie.

I to wszystko. W każdym razie nie oświadczył wyraźnie, że ma się wynosić. Nie zniosłaby tego. Postanowiła zatem nie dać mu okazji do wyrzucenia jej.

Następnego ranka pani Miller przyjechała po nią i zawiozła do "Chatki". Cassidy szybko pozbiierała swoje rzeczy, spakowała się i uciekła, zostawiając Reidowi na biurku list.

I znowu musiała samotnie stawić czoło światu. Zmobilizowała więc całą swoją siłę woli, by posklejać rozbite fragmenty swojego życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mijały dni, a Reid się nie pojawiał, więc Cassidy w końcu odetchnęła z ulgą. I tak nigdy nie wierzyła, że Reid udzieli jej wywiadu, ale myślała - głupio, jak się okazało - że może ją nachodzić i zadawać niewygodne pytania. Teraz była zła na siebie samą, że tak bardzo przejmowała się ponownym z nim spotkaniem, gdy dla Reida cała ta sprawa najwyraźniej nie miała żadnego znaczenia.

Po co w ogóle zaprzętała sobie głowę tymi wszystkimi bzdurami, po co marnowała czas na wymyślanie różnych sposobów przekazywania mu pieniędzy, po co martwiła się miesiącami, żeby jej nie odnalazł? Po to, żeby w końcu stwierdzić, iż Reida w ogóle nie obchodzi, gdzie jest i co robi?

Cassidy uznała, że nie ma co myśleć więcej o całej sprawie. Odłożyła więc biografię Dolley Madison, którą usiłowała bez powodzenia przeczytać i poszła na drugie piętro akademika, sprawdzić, jak dziewczętom idzie dekorowanie sali na przewidziany w następny weekend bal.

Żeński akademik Alpha Chi mieścił się w eleganckiej niegdyś willi. Całe drugie piętro zajmowała prawdziwa sala balowa, wysoka aż po dach, z małymi, mansardowymi oknami. Co roku samorząd akademicki proponował podzielenie drugiego piętra na pokoje z łazienkami, żeby dom mógł pomieścić więcej dziewcząt. Co roku też ten sam samorząd odrzucał propozycję, głównie z powodów sentymentalnych, ale i praktycznych. Wśród praktycznych wymieniano trudności z przeprowadzeniem instalacji ogrzewczych i kanalizacyjnych, niemniej Cassidy miała wrażenie, że przeważały przyczyny sentymentalne. Należało do nich tradycyjne przyjęcie, które dziewczęta z Alpha Chi wydawały pod koniec wiosennego semestru, tuż przed egzaminami.

Weszła na górę krętymi schodami i na wszelki wypadek zawołała, stojąc na najwyższym stopniu:

- Mogę wejść, czy coś mi spadnie na głowę?

Nikt nie krzyknął, by poczekała, więc otworzyła drzwi. Kilka dziewcząt leżało na błyszczącym, dębowym parkiecie. Inne rozsiadły się na drabinach i parapetach. Heather, siedząca po turecku na podłodze, podniosła wzrok.

- Cześć, mamuśka - powiedziała.

To przezwisko było zupełnie nowe. Heather zaczęła tak do niej mówić dopiero od tygodnia, jakby chciała podkreślić dzielącą ich różnicę wieku. Cassidy nauczyła się już traktować to z przymrużeniem oka.

- Mam nadzieję, że doceniacie poświęcenie, z jakim wciągnęłam po schodach moje zreumatyzowane kości - mruknęła.

- Napij się dietetycznej coli - roześmiała się Heather. - Może te wszystkie środki konserwujące pomogą ci na reumatyzm.

Cassidy poddała się. Wyciągnęła rękę po puszkę coli.

- Zdażycie ze wszystkim przed przyjęciem? W czasie tygodnia nie macie zbyt wiele czasu...

- Jasne. To tylko krótka przerwa dla złapania oddechu - Heather kiwnęła na leżącą nieopodal studentkę pierwszego roku, ubraną w fioletowy dres.

- Przydaj się na coś - powiedziała. - Idź i przynieś następny zapas tego podtrzymującego nas przy życiu płynu. To rozkaz Nefretete.

Dziewczyna jęknęła, ale posłusznie wstała i popędziła na dół po schodach.

- Nefretete? - spytała Cassidy. - A skąd ona się tu wzięła? Myślałam, że w tym roku ma być na romantycznie. Mówiłaś chyba, że przyjęcie jest pod hasłem "Na skrzydłach miłości", czy coś takiego?

- Tak. Nie sądzisz jednak, że na przyszłość temat staroegipski byłby rewelacyjny? Nie ustaliłyśmy, czy dekoracje mają przedstawiać dwór faraona czy grobowiec Tutenchamona, ale za to kostiumy, które wymyśliłyśmy...

Cassidy otworzyła puszkę i usiadła po turecku koło Heather.

- Czekam z niecierpliwością, że mi je opiszesz - powiedziała z rezygnacją w głosie.

- Pomyśl tylko, jakie to daje możliwości! Oczywiście mumie, poza tym sfinksy, różne zwierzęta i ptaki. Kilka dziewczyn z innych akademików już dziś bez przebierania się ma kształt piramid. A my wszystkie ubierzemy się w czarne peruki i złotą lamę, i nawet ty nie będziesz mogła nam wytykać zbyt agresywnego makijażu - zakończyła Heather triumfalnie.

Cassidy przeszedł dreszcz.

- Zostawmy te rozważania do następnego balu, dobrze? - odchyliła głowę i spojrzała w górę, gdzie pochyły sufit zniknął pod kłębami srebrnego papieru, artystycznie pomiętego i przybitego do dachu gwoździami. - Co to ma być? - Namiot sultana?

- Nie, tylko obłoki - zachichotała Heather. - Wiesz, romantycznie i tak dalej. Ale nie możemy skończyć, bo żadna z nas nie jest w stanie dosięgnąć do samej góry - popatrzyła z niechęcią na wysoki sufit. - To nasza najwyższa drabina. Ledwośmy ją tu wtargały przez te wszystkie zakręty na schodach.

Dziewczyna w fioletowym dresie wpadła do sali i z hukiem rzuciła puszkę coli na podłogę.

- Mam! - krzyknęła entuzjastycznie. - Znalazłam go przy drzwiach wejściowych. Rozwiązanie naszych problemów. Czy nie jest wysoki? - wyciągnęła rękę scenicznym gestem.

Cassidy siedziała tyłem do drzwi. O mało nie parsknęła śmiechem na widok wyrazu twarzy tych dziewcząt, które tego dnia nie umalowały się i nie ubrały ze zwykłą starannością. Odwróciła się, by zobaczyć, który to z młodych ludzi dostąpił tak wielkiego zaszczytu.

Stojący przy drzwiach mężczyzna nie robił wrażenia poruszonego widokiem takiego zbioru młodocianych piękności. Przesunął po nich spojrzeniem bez większego zainteresowania, aż dostrzegł Cassidy i na niej zatrzymał wzrok. Cassidy stwierdziła nagle, że będzie musiała powiedzieć kilka słów do słuchu nieszczęsnej dziewczynie w fioletowym dresie. Niedzielne popołudnia były święte i jeśli ktoś miał ochotę spędzać je w starych spłowiałych dżinsach i skurczonym w praniu sweterku, to jego sprawa...

I co tu robił Reid Cavanaugh? Dlaczego pojawił się przy drzwiach akademika? W każdym razie na pewno nie trudnił się domokrażnym handlem!

Jęki i okrzyki dziewcząt musiały już uświadomić nieopierzonej jeszcze studentce, że popełniła poważny błąd. Wyprostowała się więc i powiedziała stanowczo:

- On się nie liczy! To nie jest chłopak!

Cassidy dostrzegła błysk rozbawienia w oczach Reida i lekkie skrzywienie warg, świadczące o tym, że usiłuje nie wybuchnąć śmiechem.

- On tylko przyszedł do Cassidy - kontynuowała dziewczyna. - I uznałam, że może nam pomóc z przybijaniem chmur.

- Obawiam się, że jego związki zawodowe nie pozwalają mu wziąć młotka do ręki - powiedziała Cassidy. Podniosła się z podłogi cała zdrętwiała.

- Przyszedł do Cassidy, tak? - mruzczała Heather. - A gdzieś ty go dotąd ukrywała, mamuśka?

- Nie należę do związków - wtrącił Reid.

- O tym właśnie mówię. Związki, które u ciebie pracują, nie byłyby zbyt zadowolone, gdybyś sam zabrał się za wbijanie gwoździ.

- Czyżbyś rozmawiała z moimi pracownikami, Cassidy? - spytał Reid, wchodząc na drabinę. - No dobra, co mam tu zrobić?

Heather podała mu zwoje srebrnego papieru.

- Po prostu trzeba je zwinąć pod samym szczytem i przybić - powiedziała. - Ale niezbyt mocno, bo inaczej nigdy nie uda nam się ich odczepić.

- Rozczarowujecie mnie - rzekł Reid, przybijając pierwszy obłok. - Miałem nadzieję, że będę mógł wykazać się jako złota rączka.

Cassidy zastanawiała się, czy powinna zostać, czy wyjść. Z jednej strony nie było potrzeby przyglądać się, jak Reid się popisuje. Zresztą co on chciał udowodnić? Że nie był staruszką, co sugerowały słowa dziewczyny w fioletowym dresie? To już osiągnął - pomyślała, widząc, że dziewczyny przyglądają mu się z uwielbieniem.

Z drugiej strony jej wyjście mogło być odczytane jako ucieczka. Cassidy zdecydowała się na kompromis.

- Jak skończysz, Reid, przyjdź do mojego pokoju. Któraś z dziewczyn pokaże ci drogę.

Natychmiast pożałowała, że przyciągnęła jego uwagę. Musiała przeciąć całą salę balową, odwrócona do niego plecami, i przez cały ten czas nie słyszała uderzeń młotka. *Te džinsy* - pomyślała ze zdenerwowaniem - *są zdecydowanie zbyt obcisłe.*

Dlatego też zacisnęła zęby i nie zmieniła ubrania. Nie miała zamiaru przyznawać, że dostrzegła jego oceniające spojrzenie

Upłynęła niemal godzina, zanim roześmiana delegacja odstawiła Reida pod jej drzwi. Cassidy odłożyła czytaną biografię.

- Wchodź, Reid - powiedziała. - Czuję się zaszczycona, że sobie o mnie przypomniałeś. Czyżbyś chciał ze mną porozmawiać?

Wydawał się nie słyszeć sarkazmu w jej słowach.

- Wcale nie musimy rozmawiać, Cassidy. Wystarczy mi, jak będziesz na mnie patrzyła z podziwem.

- Dziewczęta cię rozpuściły, jak widzę - powiedziała Cassidy po chwili.

Przeciągnął się. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem, był bez marynarki. Widziała, jak pracują mu mięśnie pod opaloną skórą.

- Nie jestem tego pewien. Zawieszanie siedemnastu gwiazd ze sklejki, balansując na szczycie drabiny, dało mi do wiwatu. Jeśli mają zamiar łapać mężczyzn do takiej pracy, powinny zainwestować w jakieś przyzwoite narzędzia. - Rozejrzał się po niewielkim mieszkanku i oczy mu błysnęły na widok kuchenki. - Czy mógłbym dostać filiżankę kawy?

Cassidy wstała, ciesząc się, że ma coś konkretnego do zrobienia.

- Dziewczęta nie poczęstowały cię nawet dietetyczną colą?

- Nienawidzę tego płynu. - Zmarszczył nos. - Wolę tradycyjne sposoby wprowadzania kofeiny do organizmu. A swoją drogą, przepraszam za żart pod twoim adresem...

- Który? - wymsknęło jej się.

- O tym, że schudłaś. Wcale tak nie jest.

Nie wiedziała, jak to przyjąć, póki nie zorientowała się, że Reid wpatruje się we wzór na przodzie jej swetra.

- A w każdym razie nie wszędzie - dodał.

- Dziękuję... jak sądzę - powiedziała Cassidy z lodowatą uprzejmością. - Ale chyba nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

Odkryła wreszcie dzbanek do kawy na najwyższej półce szafki nad zlewem. Zerknęła na Reida, ale zajęty był przyglądaniem się jej mieszkanku, więc wspięła się na palce tak wysoko, jak mogła. I tak nie dosięgnęła dzbanka, rozejrzała się zatem za czymś, na czym mogłaby stanąć.

- Najwyraźniej nie korzystasz zbyt często ze swojej kuchni - powiedział Reid. - Inaczej stawiałabyś potrzebne rzeczy w zasięgu ręki.

Podszedł do niej cicho od tyłu i zdjął dzbanek. Przez moment była zamknięta w ciasnej przestrzeni między zlewem a jego ciałem. Nie miała dokąd się usunąć ani jak od niego uciec...

- Zresztą nigdy nie była z ciebie dobra kucharka - stwierdził, wracając na swoje krzesło.

Drżenie mięśni z wolna ustępowało. Cassidy napełniła dzbanek wodą i postawiła na ogniu.

- Po co mam gotować? - wzruszyła ramionami. - Jem razem z dziewczętami. To zresztą jest częścią moich obowiązków.

- Wiesz, właściwie nie całkiem rozumiem. Po co to robisz?

- Trochę mi płacą, poza tym mam mieszkanie i utrzymanie. Tak jest mi łatwiej.

- I skoro nie musisz wynajmować mieszkania, masz pieniądze na te przekazy pocztowe.

- Wyliczyłam sobie, że potrwa to jeszcze z sześć lat.

- I aż do tego czasu nie będziesz miała własnego domu? - Potrząsnął głową z dezaprobatą. - Cassidy...

- Nie lituj się nade mną, Reid, nie potrzebuję współczucia. Poza tym odpowiada mi to otoczenie, a nie mogłabym sobie przecież pozwolić na mieszkanie w dobrej dzielnicy. - Zerknęła na dzbanek, w którym woda wcale nie miała zamiaru się gotować. Jego pytania sprawiły, że poczuła się niewyraźnie. Czemu nie wzięłam kawy rozpuszczalnej, żeby było szybciej? - zganiła się.

- Pewnego dnia napiszę książkę o moich doświadczeniach jako opiekunki żeńskiego akademika - dodała.

Nie robił wrażenia rozbawionego.

- Nie spodziewałem się, że tak żyjesz - powiedział, wciąż rozglądając się po pokoju. - Kiedy nie chciałaś mi zdradzić, gdzie mieszkasz, pomyślałem, że jesteś z jakimś facetem.

- Dlaczego? Dlatego, że raz już tak było? - W jej głosie zabrzmiało wyzwanie i sama natychmiast pożałowała ostrego tonu. Ostatecznie wyciągnął

tylko logiczny wniosek. Żyła z Kentem, dlaczego nie mogła żyć z kimś innym?
- Kent był dla mnie kimś szczególnym - dodała.

Zapadła cisza.

- Przecież nic złego by w tym nie było - powiedział w końcu Reid łagodnie. - Upłynęło tyle czasu. Nie możesz opłakiwać go bez końca.

- Nie, nie o to chodzi. - Potrząsnęła głową. - Wciąż za nim tęsknię i żałuję, że życie nie potoczyło się inaczej. Ale już go nie opłakuję. Po prostu nie spotkałam innego mężczyzny, który tyle by dla mnie znaczył i jestem pewna, że...

- ...że nigdy go nie spotkasz? A kiedyż ty masz czas spotykać kogokolwiek?

- Po prostu wiem, że tak jest - powiedziała cicho.

- To nie jest normalne życie dla dwudziestopięcioletniej kobiety, Cassidy...

- Ciiicho! - Uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Dziewczęta nie wiedzą, ile mam lat. Nie chciałabym ich rozczarowywać. Sądzą, że jestem dość stara, by im matkować. - Wyjęła z szafki dwie filizanki. - Nie jestem pewna, czy mam cukier. I na pewno nie mam mleka.

- Piję czarną, nie pamiętasz? - Przeszedł przez pokój i zatrzymał się tuż przy niej. - Równie dobrze mogłaś się zamknąć w klasztorze.

- Daj spokój, Reid! To wcale nie tak i dobrze o tym wiesz.

- Co jest nie tak? Skoro musisz tu spędzać każdą chwilę, kiedy tylko nie jesteś w redakcji...

- To nie twój interes. Płacę swoje długi, a jak to robię, to moja sprawa.

- Wiesz, że to nie była pożyczka.

- Moim zdaniem była. Więc ją spłacam.

- Przez sześć następnych lat. - Zagryzł wargi.

- Mniej więcej.

- A tymczasem, póki nie pozbędziesz się tego długu, rezygnujesz ze wszystkiego, tak? To szaleństwo, Cassidy. Nikt się nie spodziewa, że zapomnisz o Kencie i dziecku, to oczywiste. Ale musisz prowadzić własne, prawdziwe życie...

- Dzięki za ten niezwykle pouczający wykład - przerwała mu Cassidy. - Ale byłam rano w kościele i naprawdę nie potrzebuję dziś jeszcze jednego kazania.

- Wbiłaś sobie do głowy, że nie masz już żadnych uczuć, prawda? Zwrot pożyczki nie jest dla ciebie sprawą etyki. To po prostu wymówka, żeby nie musieć żyć w prawdziwym świecie. Niech Bóg broni, byś miała spotkać mężczyznę, który zdobyłby twoje uczucie, albo takiego, z którym byś chciała pójść do łóżka.

- Czy nie za wiele sobie pozwalasz? - Cassidy zmarszczyła brwi.

- Nie. To nie zawsze jest to samo, a fakt, że o tym nie wiesz, tylko przemawia za moją tezą. Tak strasznie się boisz, że będziesz niewierna wobec Kenta...

- Wcale nie!

- ...że wykopałaś sobie tę małą norkę i zabarykadowałaś wejście, żebyś nie musiała już stawać z życiem twarzą w twarz. Kiedy ostatni raz ktoś cię naprawdę pocałował, Cassidy?

- To naprawdę nie...

- Czyżbyś się bała? - spytał cicho. Wyjął jej z ręki łyżeczki i odłożył na blat szafki. Potem odwrócił ją twarzą do siebie. - A co z tym obrazem, w który chciałaś, żebyśmy uwierzył?

Choć tylko czubki jego palców spoczywały na jej ramionach, Cassidy czuła się jak przygwożdżona do podłogi. Zresztą i tak nie miała dokąd uciec - w małej kuchence nie było jak się ruszyć.

Serce biło jej mocno. *Nie bądź idiotką* - powiedziała sobie - *przecież nie jesteś w żadnym niebezpieczeństwie. Jeden krzyk i trzydzieści dwie dziewczyny przylecą, żeby bronić twego honoru - i śmiać się za twoimi plecami.*

Pierwsze dotknięcie jego warg było chłodne, niemal kliniczne, i Cassidy odprężyła się nieco. Bez względu na to, co usiłował udowodnić, i tak go rozczaruje, więc po co robić tyle szumu? Mógłby uznać, że to on ma rację, że

ona się go naprawdę boi. Lepiej pokazać mu wprost, że nie robi na niej żadnego wrażenia...

Przesunęła więc dłonie w górę jego ramion, aż objęła go za szyję. Spojrzała spod rzęs.

- Lepiej nie umiesz? Szkoda, na ogół lubię być całowana.

W oczach Reida błysnął ogienek.

- A lubisz też, gdy się ciebie chwyta za słowa? - mruknął. Przesunął palce z ramion Cassidy na gardło, jakby chciał ją udusić. Ale szukał tylko jej pulsu i gdy poczuł bijące szybko i nierówno serce, uśmiechnął się. - Łatwo to zrobić. Pamiętaj o tym następnym razem.

- Jest różnica między podnieceniem a zniecierpliwieniem...

Nie dał jej szans, by mogła mówić dalej. Zaciśnęła zęby i zeszywniała, spodziewając się, że tym razem pocałuje ją mocno i namiętnie, może nawet brutalnie...

Ale jego pocałunek był ciepły, delikatny, pełen słodocy. Reid pieścił jej wargi, kąciuki ust, oczy, skronie, wracając językiem do rozchylonych warg, aż nie mogła się już przeciwstawić, aż poczuła tęsknotę, która zepchnęła na bok zimny rozsądek. W ciemnych zakamarkach mózgu wylęgła się myśl, że to on miał rację, że już od bardzo dawna naprawdę z nikim się nie całowała...

Nieprzyjemny hałas bulgocącej kawy wdarł się w jej marzenia. Cassidy oderwała się od Reida, by napełnić filiżanki, nie zwracając uwagi, że z maszynki wciąż kapie wrzątek.

- Zadowolony? - spytała. - Nie sądz, że się ciebie boję. Twój zwyczaj wtrącania się w życie innych ludzi i mówienia im, co powinni robić, nie wywiera na mnie wrażenia.

Spojrzała nieprzyjaźnie i pchnęła w jego stronę filiżankę.

- Pewnie, że jestem zadowolony - mruknął Reid. - Udowodniłem, co chciałem, chyba że zawsze zapominasz podstawić dzbanek pod maszynkę i lubisz, gdy kawa pryska po całej kuchni...

Maszynka wciąż pompowała wrzącą wodę, a Cassidy rzeczywiście zapomniała podstawić pod nią dzbanka. Kilka kropel wrzątku oparzyło jej rękę, zakłęta więc i podstawiła dłoń pod zimną wodę. Reid nie ruszył się, musiała więc przycisnąć się do niego, by dosięgnąć zlewu. Próbowwała się opanować.

- Właściwie dlaczego przyszedłeś? Chyba nie po to, by prawić mi kazania?

- To prawda. - Nie ruszał się z miejsca. - Przed przyjściem nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaka z ciebie wariatka.

- Słuchaj no...

- Przyszedłem, by powiedzieć, że zgadzam się na ten wywiad.

Cassidy zmrużyła oczy. *W tym musi być jakiś haczyk* - pomyślała. - *On nigdy nie udziela wywiadów, dlaczego więc miałby tym razem ustąpić?*

- Ale bez żadnych warunków wstępnych - ostrzegła go. - W dalszym ciągu nie zgadzam się na kolację z twoją matką. Nie uznaję specjalnego traktowania.

Wydawał się nie słyszeć.

- Teraz, kiedy spojrzałem na sprawę z twojego punktu widzenia, myślę, że może powinienem najpierw porozmawiać z tą drugą dziennikarką. Tak chyba będzie uczciwie, nie?

- Jaką drugą dziennikarką? - wyjąkała Cassidy.

- Sądzisz, że tylko ty chciałabyś ze mną porozmawiać? - potrząsnął głową. - Nigdy nie sądziłem, że jesteś tak zarozumiała. A skoro nie chcesz szczególnego traktowania...

- Jaką drugą dziennikarką? - powtórzyła głośniejszym głosem.

- Chyba ją znasz, nazywa się McPherson. Też pracuje dla "Alternative". - Łyknął kawy i odstawił filiżankę. - Powinnaś nauczyć się parzyć kawę, Cassidy. Ta jest okropna. I do widzenia, nie odprowadzaj mnie, sam znajdę drogę. - Zatrzymał się przy drzwiach pokoju i dodał: - Nie martw się. Dam ci znać, kiedy podejmę decyzję.

Nie blefował, stwierdziła Cassidy, gdy późnym wieczorem udało jej się złapać Chloe.

- No cóż, dzięki, Cassidy - powiedziała Chloe. - Bycie pełnoetatową matką jest dobre na parę miesięcy, ale sama mówiłaś, że tracę wycucie. Pogadałam więc z Brianem i od poniedziałku zaczynam w dziale miejskim. Postaram się nie pchać na twoje terytorium ale wiesz, jak to jest.

- A co z Teresą? - spytała Cassidy.

- Och, znacznie bardziej podoba jej się przedszkole, niż spędzanie całych dni ze mną. Strasznie brakowało mi pracy. W głowie kłębi mi się tyle pomysłów, że nie wiem, za który łapać się najpierw.

Cassidy nie zapytała o wywiad z Reidem Cavanaugh.

W ogóle nie wspomniała jego nazwiska, podejrzewając, że każde napomnienie na jego temat jeszcze bardziej podnieci ciekawość Chloe. Powiedziała więc tylko, że wszystkim w redakcji jej brakowało i że cieszy się z jej powrotu.

Późno w nocy, gdy wciąż przewracała się po łóżku nie mogąc zasnąć, pomyślała, że Reid nie zdaje sobie sprawy z dociekliwości Chloe. Nie wie, w co się pakuje - i dobrze mu tak! Zasluguje na wszystkie kłopoty, jakie go czekają. "*Kiedy ostatni raz ktoś cię naprawdę pocałował?*", też coś!

Ale gdy w końcu zasnęła, śniła nie o dzisiejszym pocałunku, ale o ich pierwszym, dawno temu...

Była piękna, lipcowa noc. Wpadające przez szeroko otwarte okna powietrze było świeże, lecz ciepłe i łagodnie pieściło skórę. Powinna była zasnąć bez trudności, tymczasem dzień był tak pełen emocji, że wciąż leżała w ciemnościach i przypominała sobie wszystko po kolei. Najpierw bukiet kwiatów od Reida. Potem wspaniały obiad, ugotowany przez panią Miller, zakończony deserem w postaci udekorowanego świeczkami sernika z bitą śmietaną. Pani Miller wiedziała dobrze, jak bardzo Cassidy ostatnio tęskniła za słodczami. Potem bilety na najnowszą sztukę, która właśnie zeszła z Broadwayu. To był niemal doskonały dzień.

Byłby absolutnie doskonały - pomyślała - gdybym po teatrze zjadła coś miękkiego, lepkiego i czekoladowego.

Nachodziły ją teraz takie "smaki" - nagle i niespodziewanie. Westchnęła, postanawiając myśleć o czymś innym i szybko zasnąć. Ale apetyt na czekoladę nie przechodził, naciągnęła więc szlafrok i poszła do kuchni, mając nadzieję znaleźć coś, co by ją zaspokoilo.

Reid siedział w dużym pokoju, słuchał muzyki i czytał gazetę. Na jej widok zerwał się na równe nogi z wyrazem niepokoju w oczach.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go. - To tylko wycieczka do kuchni. Może pani Miller zostawiła coś dobrego.

- Jesteś głodna? - zapytał z niedowierzaniem.

- Właściwie nie, ale jeśli nie zjem kawałka czekolady, przed końcem nocy zmienię się w wilkołaka.

- Co byś chciała? - Reid wszedł za nią do kuchni. - Lody czekoladowe? Batonik? Całą tabliczkę?

Cassidy wysunęła głowę z lodówki.

- Ciasto czekoladowe - powiedziała rozmarzonym głosem, nagle olśniona.
- Takie oblane czekoladą i obsypane orzechami...

- Już prawie północ - w głosie Reida pobrzmiwała wątpliwość.

- Żadna z ciebie pomoc - Cassidy znalazła paczkę pralinek miętowych w polewie czekoladowej i nabrała całą garść. Wsuwała je pojedynczo do ust, nie spuszczać z Reida kpiącego spojrzenia. - Najpierw nalegasz, żebym jadła, a kiedy mam na coś ochotę, ty...

- Ciasto czekoladowe - jęknął. - Wiesz może, skąd...?

- Przecież żartuję, Reid. Wytrzymam przez noc - odwróciła się, żeby wyjść z kuchni, ale przy drzwiach zatrzymała się na chwilę. - Oczywiście, gdyby pani Miller jeszcze nie spała, zrobiłaby mi, co chcę...

Roześmiała się z jego wyrazu twarzy i wróciła do łóżka w znacznie lepszym humorze. Zasnęła bez problemów, ale w jakąś godzinę później obudziło ją pukanie do drzwi sypialni.

Usiadła na łóżku, zapaliła lampkę i obciągnęła koszulę nocną na kolana. Reid wkroczył do pokoju.

- Pani życzyła sobie ciasto z polewą czekoladową - powiedział, stawiając na łóżku talerz. Oczy Cassidy zaokrągliły się ze zdumienia.

- Reid, kochany! - wykrzyknęła. Na talerzu leżało pokrojone ciasto, oblane czekoladą i obsypane orzechami. Złapała kawałek i wsadziła sobie do ust. Było pyszne - słodkie, miękkie i... - Jeszcze ciepłe - powiedziała niewyraźnie.

- Ostygnie. Chciałaś ciasto, to je teraz jedz. - Usiadł na brzegu łóżka, jakby chciał dopilnować, aby wszystko zjadła.

- Czy naprawdę wyciągnąłeś panią Miller z łóżka? - popatrzyła na niego surowo, ale w tej samej chwili zaskoczył ją drobny ruch i chwyciła się za brzuch.

- Co się stało? - Reid wyciągnął rękę.

- Poruszyło się!

Patrzył na nią przez chwilę.

- Dziecko cię kopnęło?

- To było bardziej jakby rybka machnęła ogonkiem... Ale sądzę, że rzeczywiście mnie kopnęło.

- Smakuje mu czekolada, co? - roześmiał się Reid. - Może tak właśnie powinniśmy je nazwać

- Czekoladka?

Cassidy zachichotała, ale zaraz jej oczy napełniły się łzami. Zmiany nastroju ogarniały ją teraz tak nagle. - To przejdzie - mówiła sobie. - To tylko twoje hormony dostają kręćka. - Wsunęła do ust drugi kawałek ciasta.

Gdy w chwilę później spojrzała na Reida, w jego oczach nie było już śmiechu. Wpatrywał się w nią jak w nieznaną. Gdy pochylił się w jej stronę, nie zaprotestowała, a gdy jego usta delikatnie musnęły jej wargi - oddała mu pocałunek. Był to delikatny i czuły gest, podkreślający wspólnotę tej cudownej chwili. Jej serce uspokoiło się, bo on tu był...

Reid pierwszy się cofnął.

- Cassidy - powiedział cicho, niemal z lękiem. Spróbowała zażartować.

- Jak zacznie raczkować, będziemy musieli trzymać pod kluczem całą czekoladę - powiedziała i zanim skończyła mówić, przeraziła się własnych słów. Przecież kiedy dziecko zacznie raczkować, jej już tu nie będzie. Jeśli naprawdę będzie lubiło czekoladę, dowie się o tym tylko z dorocznych raportów, które Reid jej obiecał. Jeszcze raz wyszła na idiotkę. *"Smakuje mu czekolada, co? Może tak właśnie powinniśmy je nazwać - Czekoladka"* - powiedział Reid, a jej zmęczony mózg przeskoczył w podświadomości dzielącą ich przepaść.

Reid potarł oczy. Przez trwającą w nieskończoność chwilę bała się, że przypomni jej, iż mówił tylko o kilku najbliższych miesiącach jej ciąży, a nie o

dalszej przyszłości. Zrobi to bardzo delikatnie, wiedziała o tym, ale przez to będzie jeszcze gorzej...

- Zapomniałam - szepnęła. - Nie to miałam na myśli.

Westchnął, jak gdyby z ulgą.

- Dobranoc, Cassidy - powiedział.

- Reid - szepnęła cicho, ale usłyszał i zatrzymał się przy drzwiach. -
Dziękuję za ciasto.

Uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było wesołości.

- Dobranoc, Czekoladko - dodał.

I została sama, boleśnie sama. Rozpłakała się, a płacz ukołysał ją do snu.

Przez moment po obudzeniu myślała, że wciąż jest lipiec a ona wciąż jest w "Chatce" i cały koszmar dopiero ma nadejść. Tymczasem jednak w powietrzu wpadającym przez otwarte okno czuło się wiosenny chłód, a wokół siebie widziała nie spokojny, elegancki pokój gościnnie, lecz własną sypialnię w akademiku, wypełnioną byle jakimi meblami.

Jedno tylko było takie samo cztery lata temu i teraz. Jej poduszka mokra od łez.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez cały poranny rytuał szykowania się do pracy Cassidy zastanawiała się, czy powinna ostrzec Reida przed Chloe. W końcu zdecydowała, że nie ma

powodu. Zasługiwał na wszelkie możliwe nieprzyjemności, a ona przecież nie była odpowiedzialna za koleżankę z redakcji. Wystarczy, jak się nie będzie wtrącać i zostawi sprawę swojemu biegowi.

Podczas spaceru do samochodu w chłodny, wiosenny poranek stwierdziła jednak, że mimo wszystko nie potrafi tak postąpić. Reid nie wiedział, w co się pakuje, więc naprawdę powinna go ostrzec...

- Więc chcesz trzymać go za rączkę - szydziła z samej siebie. - To najgłupsza rzecz, jaką możesz zrobić, przecież nie jest naiwnym, małym chłopcem!

W końcu jednak jadąc do pracy zatrzymała się przed jego biurem, przekonana, że nie zmienił swoich zwyczajów i zastanie go już mimo wczesnej godziny. Nigdy dotąd nie była w biurze Reida, ale wiedziała, gdzie się mieści: w jednym z nowych, wysokich biurowców niedaleko Country Club Plaża. Była to jedna z najelegantszych lokalizacji w mieście. Biuro zrobiło na niej wrażenie: całe piętro utrzymane w zgaszonych kolorach, dużo szkła i chromowanej stali, a przede wszystkim wspinały, wciąż zmieniający się widok na Plażę.

Sekretarka Reida przyznała, że jej szef jest już obecny, ale nie sądziła, by miał czas dla dziennikarzy.

- Spytałem się go, oczywiście - powiedziała. - Tymczasem może zechce pani przejrzeć nasze foldery reklamowe.

- Sądzę, że znajdzie dla mnie chwilę - odrzekła Cassidy, koncentrując uwagę na zdumiewająco różnorodnych broszurkach i folderach, przedstawiających budowane przez Cavanaugha luksusowe bloki mieszkalne.

- Szef przyjmie panią - usłyszała głos wyraźnie zdziwionej sekretarki.

Jego gotowość do rozmowy potwierdziła podejrzenia Cassidy. Powinno jej to sprawić przyjemność, ale jakoś nie czuła się zadowolona.

Biuro Reida mieściło się w narożu budynku. Przez ogromne, zajmujące dwie ściany okna otwierał się zapierający dech w piersiach widok na Country Club Plażę, gdzie rzędy budynków, utrzymanych w stylu hiszpańskim, pokrywały całe wzgórze, a ich dachy łapały światło słoneczne i rozbłyskiwały różnymi odcieniami czerwieni i złota. Ten widok musi się stale zmieniać - pomyślała, zastanawiając się równocześnie, jak Reidowi udaje się skupić tu na pracy, a nie na patrzeniu przez okno. Na pozostałych dwóch ścianach, wyłożonych jasną boazerią, wisiało kilka oprawionych w ramki rysunków architektonicznych. Zerknęła na najbliższy: przedstawiał panoramiczny widok

osiedla mieszkaniowego. Nie odczytała jego nazwy, zapisanej w dolnym lewym rogu - to chyba dopiero projekt, jeszcze nie zrealizowany.

Biurko Reida zawałały sterty papierów. Gdy weszła, odsunął niektóre z nich i wstał. Rękawy koszuli podwinął do łokci, krawat wisiał luźno, a granatowa marynarka leżała przerzucona przez krzesło. Zaczął doprowadzać swój wygląd do porządku, ale Cassidy wstrzymała go ruchem głowy.

- Nie przejmuj się wyglądem. Nie zajmę ci więcej, niż dwie minuty. Potem musiałbyś wszystko robić od początku.

Reid roześmiał się.

- Czy mogę prosić o kawę? - zwrócił się do sekretarki. - A potem proszę nie łączyć telefonów.

Wskazał Cassidy kąt pokoju, gdzie dwie niewielkie kanapki po obu stronach stolika wydawały się zapraszać do rozmowy. Cassidy przysiadła na brzegu jednej z nich. Reid zajął miejsce naprzeciwko, co przyjęła z ulgą. Nie odzywał się, popijał wolno podaną już kawę, jakby miał mnóstwo wolnego czasu.

- Świetna kawa - przerwała milczenie Cassidy.

- Moja sekretarka ma większą wprawę w parzeniu kawy niż ty - odpowiedział poważnie.

- Pewnie chcesz się dowiedzieć, po co przyszłam - rzekła, rumieniąc się. Zapowiedziane przez nią dwie minuty już upłynęły.

- Nie, nie zastanawiałem się nad tym. Cieszyłem się twoim widokiem.

- Daj spokój, Reid. Nie bawmy się w takie rzeczy. - W głosie jej zabrzmiała nuta irytacji, więc odetchnęła głęboko i uspokoiła się. - Czy naprawdę masz zamiar pozwolić Chloe na wywiad, czy po prostu miałeś nadzieję, że obudzisz moją zazdrość i przystanę na wszelkie twoje warunki?

Uniósł brwi.

- Zazdrość? Wielkie nieba, a o cóż ty mogłabyś być zazdrosna?

- O mój artykuł, Reid - odpowiedziała beznamiętnie. - Pierwsza złapałam ten temat.

- Więc uważasz, że masz do niego wyłączne prawo?

- Jest coś takiego, jak etyka zawodowa. Gdy dwie osoby pracują dla tej samej gazety...

- Ale to nie jest mój problem - przerwał jej gładko.

- Nie. Natomiast jeśli zgodzisz się rozmawiać z Chloe, twoim problemem będzie to, że jest ona bardzo dobrym, wnikliwym i bezwzględny reporterem. Nie zadowolony się niczym, zanim nie dotrze do samego sedna.

- A ty?

- Też nie. Ale ona lubi doszukiwać się skandali. Każdy ma swoje słabostki, a Chloe ma talent do ich wynajdywania. Jeśli dziesięć lat temu w Kalifornii zapłaciłeś mandat za złe parkowanie, możesz być pewien, że się tego dogrzebie i na tej podstawie wyciągnie wnioski o twoim charakterze.

- Ale tobie nie chodzi o mandaty, prawda? Boisz się, że dowie się o tobie i o mnie.

- No właśnie, częściowo - przyznała uczciwie. - Gdy się za ciebie weźmie, może zacząć rozpytywać się wszędzie wokół. Nie zapominaj, że wysłała do ciebie ten przekaz pieniężny z San Francisco.

- To był twój błąd, Cassidy.

- Wiem. Ale problem powstał i teraz trzeba go rozwiązać.

- Co proponujesz? Żeby rozmawiał z tobą, a nie z nią? Przekonaj mnie, że tak będzie dla mnie lepiej, słucham, Cassidy.

- Chcesz wiedzieć, na jakie ustępstwa jestem gotowa pójść? - Cassidy potrząsnęła głową. - Mam lepsze rozwiązanie. Nie rozmawiaj z żadną z nas. Nie ma artykułu, nie ma problemu. To najprostszy sposób, zresztą i tak nie lubisz reklamy...

Uniosła filiżankę, by napić się kawy i przyglądała mu się uważnie przez rzęsy. Spodziewała się może błysku zdziwienia w jego oczach, może rumieńca, ale nie była przygotowana na wyraz szoku, jaki na mgnienie oka ukazał się na twarzy Reida, zanim pokrył go śmiechem. Wpatrywała się w niego bez tchu. Czyżby znalazła jakiś słaby punkt tajemniczego pana Cavanaugh?

- Spodziewasz się, że w to uwierzę, Cassidy? Jeszcze minutę temu byłaś gotowa wydrapać oczy tej McPherson, by chronić swój temat.

- Nic mi nie jesteś winien, Reid. - Uśmiechnęła się słodko. - Poza tym to i tak nie był mój pomysł, tylko Briana. Powiem mu, że nic z tego nie wyszło.

Zamilkła i z satysfakcją przyglądała się, jak Reid bezskutecznie usiłuje znaleźć właściwe słowa. Pierwszy raz i pewnie ostatni widziała go tak zmieszanego.

- Tak w każdym razie wymyśliłam - dodała łagodnie. - Przez pół nocy zastanawiałam się, o co ci właściwie chodzi. Chcesz mi udzielić wywiadu, ale równocześnie chcesz, by wyglądało na to, że uległeś moim prośbom, że wyświadczasz mi grzeczność. A przecież tak nie jest, co, Reid?

Pochylił się do przodu, jakby coś w jej słowach go zaintrygowało.

- Dlaczego tak uważasz?

Cassidy skrzyżowała ręce na piersiach i zastanawiała się, czy powiedzieć mu, jak doszła do takich wniosków.

- Nie powiem, żebyś w ten sposób cokolwiek zasłaniała - mruknął Reid.

- Nie zmieniaj tematu. Wczoraj wspomniałam o związkach zawodowych, a ty spytałeś, czy rozmawiałam z twoimi robotnikami. Twoja podświadomość przysnęła na chwilę, a ja w ten sposób dowiedziałam się, że związki niezbyt cię w tej chwili lubią. Zaczęłam się zastanawiać - nigdy dotąd nie było mowy o jakichkolwiek kłopotach - i wpadłam na to, że chcesz, by w gazecie ukazała się twoja wersja. Równocześnie wszystko miało wyglądać tak, jakbyś robił mi grzeczność, a nie na odwrót.

- Może jednak powinienem rozmawiać z Chloe - burknął Reid. - Z nią chyba łatwiej bym sobie poradził.

- No to próbuj. - Cassidy nie spuszczała z niego wzroku. - Więc nie potrzebujesz reklamy, tak? A czym to jest w takim razie? - Wyciągnęła z torby plik folderów i rozsypała je na stole.

Reid wzruszył ramionami.

- Oferta handlowa. Która zresztą znakomicie działa. Po co mi więc jeszcze wściubiająca wszędzie swój nos dziennikarka?

Cassidy obdarzyła go najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów.

- No właśnie! O tym mówię! Odpręż się, Reid, nie musisz nikomu udzielać wywiadu. - Odstawiła filizankę, chwyciła torebkę i pokonała już

połowę odległości do drzwi, gdy ją zawołał. Odwróciła się, pytająco unosząc brwi.

- Nie do publikacji...

Pokręciła głową przecząco.

- Teraz już wszystko jest do publikacji. Dawałam ci dotąd tyle luzu...
Więc jak będzie, porozmawiasz ze mną czy nie?

Westchnął i przeczesał włosy palcami. *Do twarzy mu z taką rozwichrzoną czupryną* - pomyślała.

- Jeśli nie chcesz pisać tego artykułu, Cassidy...

- Kłamałam. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście, że chcę. Nie powiedziałam ci też, że potrafię być tak samo bezwzględna jak Chloe, jeśli ktoś mnie oszukuje. I tak samo ciekawa. Gdybyś zdecydował się dać wywiad Chloe, ja pewnie zaczęłabym rozmawiać z twoimi robotnikami.

- Czy nie mówiłaś przed chwilą czegoś o etyce zawodowej?

- Wtedy byłyby o tobie dwa artykuły w "Alternative".

- Jeden wystarczy. Za to będzie ciekawy.

- Czy to znaczy, że się zdecydowałeś?

- Nie wiem, czy przypadkiem połowy informacji i tak już nie masz - burknął.

- Może - powiedziała, myśląc równocześnie gorączkowo, jakie informacje może mieć i nie zdawać sobie sprawy z ich znaczenia. "Połowy informacji" - ale jakich?!

- Och, do diabła, Cassidy - powiedział, wzdychając ze zniecierpliwieniem.

- Chodź tu i siadaj.

To rzeczywiście może być ciekawy materiał na artykuł. Reid jasno powiedział, że wiele spraw, o których mówili, to w tej chwili tylko plany i potrzebne są jeszcze negocjacje. A jeśli coś w nich przeszkodzi, z całego planu nic nie wyjdzie, więc nie będzie też artykułu.

Cassidy przyjrzała się leżącym na stole rysunkom. Serce skakało jej od przepony po gardło, gdy rozważała wszystkie możliwości.

- Ale temat! - westchnęła.

- Jeszcze nie! - ostrzegł Reid. - Zbyt wcześnie, by o tym pisać.

- Wiem, Reid. Obiecałam, że na razie nic nie opublikuję.

- W tej chwili mogę podać ci jedynie ogólne zarysy.

- Rozumiem. Jeśli nie dogadasz się ze związkami zawodowymi, nic z tego nie będzie.

- A gdyby nie twoje artykuły o kłopotach mieszkaniowych młodych ludzi, w ogóle nic bym ci nie powiedział - spojrzał na nią oskarżycielsko. - Obawiałem się, że moje najtajniejsze projekty znajdą się na pierwszej stronie twojej gazety najdalej w przyszłym tygodniu.

- To przypadek - powiedziała Cassidy. - Nie miałam pojęcia.

Wpatrywała się znowu w projekty architektoniczne, przedstawiające całkowicie nowy rodzaj bloków mieszkalnych Cavanaugha. Wciąż obszerne mieszkania, wciąż w dobrych dzielnicach, wciąż o wysokiej jakości, z której był znany - ale za cenę, na jaką mogli sobie pozwolić nawet kupujący pierwsze mieszkanie młodzi ludzie.

- To wszystko, co mówiłaś, żebym zaczekał i zobaczył o czym mówią twoje następne artykuły... - westchnął. - A teraz wygląda na to, że przyparłaś mnie do muru przypadkiem?!

- Nie przejmuj się tym, Reid. To nieważne, skąd się dowiedziałam. Ważne, że teraz, gdy wiem... - Zauważyła pełen wątpliwości wyraz jego twarzy. - Nie denerwuj się. Obiecałam, że poczekam. Powiedz mi teraz więcej o tym, jak masz zamiar załatwić sprawy finansowe. Szczerze mówiąc, wydaje mi się to niemożliwe. - Spojrzała na zegarek i stłumiła westchnienie. - Nie, nawet nie zaczynaj. Muszę natychmiast pojechać do biura, bo Brian się wścieknie. Chyba, że mogę mu o tym powiedzieć - dodała z wahaniem.

Reid zdecydowanie pokręcił głową.

- Za wcześnie. I wciąż istnieje ryzyko, że nic z tego nie wyjdzie. Szczególnie, jeśli zajmą się tym gazety.

- Nie bój się. Brian jest zawodowcem, wie, kiedy trzeba poczekać z publikacją jakiegoś tematu.

- Może to i prawda, ale jestem pewien jednego: nie wydrukuje nic, o czym nie wie - powiedział stanowczo. - Na razie musisz to trzymać przy sobie, Cassidy.

- I pracować nad artykułem w wolnym czasie - burknęła.

- Czy nie tak właśnie pracują dobrzy dziennikarze? I możemy połączyć przyjemne z pożytecznym. Może zjemy razem kolację u "Amerigo's", a ja wtedy wszystko ci opowiem?

- Nie mogę się dzisiaj wyrwać.

- Czyżbyś co wieczór musiała uczyć swoje dziewczęta dobrych manier przy stole?

- Nie przeceniaj ich zdolności. Zresztą to należy do moich obowiązków. - Zastanowiła się nad swoimi planami na najbliższe dni. - Może w sobotę? Znajdę kogoś, kto mnie zastąpi...

- W sobotę jestem zajęty. - Pokręcił głową.

- To zapewne znaczy, że nie możesz się wyrzec partyjki golfa. To jak, Reid? - spytała z pewną ulgą. Do soboty było dużo czasu, a wywiad należy przeprowadzać, gdy rozmówca ma na to ochotę, a nie odkładać go o tydzień. W międzyczasie mógłby dojść do wniosku, że w ogóle nie ma zamiaru nic powiedzieć. - A może przyjdiesz dziś wieczorem do akademika i porozmawiamy po kolacji?

- O której jest kolacja?

- O siódmej. Ale...

- Będę punktualnie - wstał zdecydowanie, najwyraźniej gotów wrócić do pracy.

- Nie to właściwie... - Cassidy przerwała i wzruszyła ramionami. - Świetnie - dodała, uśmiechając się złośliwie. - Dziewczętom dobrze zrobi, gdy będą mogły popraczkować na gościu płci męskiej.

Nawet się nie skrzywił.

- O to się nie martwię. Zapomniałaś chyba, że najwyższy autorytet w tej dziedzinie stwierdził, że jako mężczyzna się nie liczę, przynajmniej jeśli chodzi o twoje podopieczne.

Smarkate głuptasy, pomyślała Cassidy. Zdecydowanie muszą jeszcze dorosnąć!

Nawet jeśli dziewczyny z akademika Alpha Chi uważały, że Reid Cavanaugh jest starcem, tego wieczoru nie dawały tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie, flirtowały z nim przez całą kolację tak bezczelnie, że Cassidy chętnie przypominałyby im o dobrych manierach. Później, gdy podano już kawę i deser, dziewczyna z pierwszego roku, która była "najwyższym autorytetem" Reida, zaprosiła go na sobotnie przyjęcie. Reid poważnie stwierdził, że na pewno będzie dobra zabawa, a Cassidy nie mogła się zdecydować, na które z nich miałyby większą ochotę wrzasnąć.

W końcu jednak dziewczęta rozeszły się po pokojach, a Cassidy stłumiła westchnienie ulgi.

- Czy teraz możemy się zająć poważniejszymi sprawami? W moim pokoju nikt nam nie będzie przeszkadzać, chyba że dach zawali się nam na głowę.

W pokoju Reid usadowił się wygodnie w kącie kanapy i spojrzał niechętnie na otwarty na kolanach Cassidy notatnik.

- Ten przedmiot mnie denerwuje.

- Dzięki notatkom nie pogubię się w faktach, Reid.

- Fakty nie są takie skomplikowane. Wolałbym po prostu z tobą porozmawiać. Kiedy już skończysz pisać artykuł, możemy sprawdzić szczegóły.

- Nie pozwolę ci przeczytać gotowego artykułu, jeśli o to ci chodzi - ostrzegła go. - Nikomu nie pozwalam cenzurować moich tekstów.

- Nawet twojemu naczelnemu?

- To co innego. A zatem - popraw mnie, jeśli się mylę - zwróciłeś się do działających w twoim przedsiębiorstwie związków o pewne ustępstwa, by móc

utrzymać umiarkowane ceny ukończonych mieszkań. Robotnicy pracujący na tych budowach będą mniej zarabiać, za to dostaną część zysków.

- Będą akcjonariuszami w spółce, co sprawi, że będą pracować szybko i wydajnie, a także nie obniżą jakości. - Reid odchylił się na oparcie kanapy. - W rezultacie mogą w końcu zarobić więcej, niż przy trzymaniu się stawek związkowych.

- Ale to wymaga zezwolenia szefów związków zawodowych.

- Nie podoba mi się takie sformułowanie. Nie proszę ich właściwie o zezwolenie - powiedział Reid stanowczo.

- Nazwijmy to więc akceptacją.

- To już lepiej.

- Kiedy ma zapadć decyzja?

- Kiedy uda mi się zgromadzić wszystkich w jednym pokoju, żebyśmy mogli to przedyskutować. W każdym razie w ciągu najbliższych kilku tygodni. Nie mogę cię tam zaprosić - wśród tych wszystkich robotników budowlanych i prawników byłabyś zbyt widoczna. Musisz polegać na moich słowach.

Nie upierała się. Oczywiście, miał rację - zresztą mogła uzyskać potrzebne informacje na wiele sposobów. Myślała o całym projektowanym przedsięwzięciu, rysując coś na marginesie notatnika. Tak ogromne ograniczenie kosztów bez poświęcenia jakości musiało przecież wymagać znacznie więcej, niż tylko ustępstw ze strony związków. Chciała go o to zapytać, gdy Reid powiedział:

- A swoją drogą, jak Brian przyjął twoje dwugodzinne spóźnienie dziś rano?

- Nie najlepiej - Cassidy wzniosła oczy do nieba. - Ale udało mi się go ułagodzić bez wyjaśniania, gdzie byłam. Jesteś mi coś za to winien.

- Pomyślę o tym. Może coś wpadnie mi do głowy. Normalnie zaprosiłbym cię na kolację, ale oczywiście rozumiem, że nie jesteś w stanie spędzić nawet jednego wieczoru bez twoich czarujących współmieszkanek.

- Nie bądź złośliwy. Jedną z dobrych stron życia w akademiku jest kulturalna konwersacja przy stole i ktoś musi dawać przykład. Poza tym właśnie zgodziłeś się przyjść na przyjęcie...

- Nieprawda. Powiedziałem tylko, że może być dobra zabawa.

- To wystarczy. A jeśli nie rozumiesz, dlaczego ktoś tu musi być...

- Przecież wiem, że ktoś to musi robić. Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat ty. Czy to cię nie męczy, Cassidy?

- No cóż, czasami chciałabym mieć więcej wolnego czasu. Ale w sumie moje obowiązki nie są takie ciężkie. Nie tworzę przepisów ani nie muszę karać dziewcząt, które się do nich nie stosują. Od tego jest samorząd. Ja po prostu jestem kimś w rodzaju przyzwoitki.

- Przyzwoitki dla dziewcząt czy dla siebie samej, Cassidy?

- Co? - Gwałtownie przestała huśtać się na krześle i spojrzała na niego ze zdumieniem. - Przyjmij do wiadomości, że nie spałam z połową męskiej populacji Kansas City...

- Myślę, że nawet nie zaczęłaś.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego to zdanie zabrzmiało obraźliwie?

- Nie miałem zamiaru cię obrażać. Chodzi mi tylko o to, że w ten sposób ułatwiasz sobie życie. Masz wygodną wymówkę, dlaczego nie wychodzisz, nie spotykasz się z mężczyznami.

- Już ci mówiłam, że mnie to nie interesuje. Kent był wyjątkiem.

- Jesteś tego pewna? Czy też w głębi duszy boisz się, że jeśli umówisz się z kilkoma innymi facetami okaże się, że Kent wcale nie był taki wyjątkowy?

Wpatrywała się w niego, niepewna, czy dobrze słyszy.

- Kochałem mojego młodszego brata, Cassidy, ale doskonale widziałem jego wady. Kent był samolubnym, rozpuszczonym dzieciakiem, który żył tylko dla przyjemności...

- Przestań!

- Nie lubisz słuchać prawdy? Myślałem, że z przyjemnością ją odkrywasz, bez względu na to, jak jest nieprzyjemna. A może dotyczy to tylko życia innych ludzi, a nie twojego? - Wstał, nie mogąc już widocznie usiedzieć bez ruchu. -

Czy boisz się, że gdybyś się rozejrzała wokół, ktoś mógłby zastąpić Kenta w twoim sercu? Czy nie to jest prawdziwą przyczyną faktu, że się tu schowałeś?

Całym wysiłkiem woli wyprostowała się pod jego spojrzeniem.

- Nie przyznam ci racji - powiedziała. - Ale nawet jeśli tak jest, to co to ciebie może obchodzić, Reid?

Nie odpowiedział od razu. Podeszedł do okna i wpatrzył się w coś na dworze.

- Bo używasz mnie jako wymówki - powiedział w końcu przez ramię.

- Co takiego?!

- Pieniądze. - Odwrócił się do niej. - Póki mówisz sobie, że musisz tu pracować, by mnie spłacić, unikasz spojrzenia w oczy prawdziwej przyczynie.

- To, co nazywasz prawdziwą przyczyną, to bzdura, Reid! - Cassidy aż podskoczyła na krześle.

- Udowodnij to - powiedział z wyzwaniem w głosie. - Przestań przysyłać mi pieniądze. Nic mi nie jesteś winna i nigdy nie byłaś. Zostaw ten akademik. Zaczynaj naprawdę żyć, a nie tylko udawać...

- Nic ci nie muszę udowadniać - Cassidy z wysiłkiem zapanowała nad głosem. - Chyba odbieглиśmy od tematu, prawda? - Podniosła swój notatnik z dywanu i usiadła wygodniej. - Mówiłeś o finansowaniu całego przedsięwzięcia, o obniżce kosztów bez obniżenia standardu.

Wydawał się nie słyszeć. Przyglądał się jej uważnie przez półprzymknięte oczy.

- To wrażenie, jakie robisz - powiedział powoli. - Spokoju i pogody. Jakby nic nigdy nie mogło cię wyprowadzić z równowagi. Początkowo to była maska, za którą chowałeś swój ból. Potem najwyraźniej zapomniałeś, że to tylko maska, aż stała się częścią ciebie. Chciałbym zerwać z ciebie tę maskę, Cassidy, żebyś mogła znowu czuć...

Przez długą chwilę w pokoju panowało pełne napięcia milczenie.

- Mylisz się - powiedziała w końcu Cassidy bardzo spokojnie.

- Nie, nie mylę się - Reid potrząsnął głową. - Pamiętam, kiedy ta maska była nowa, kiedy zdarzało ci się jeszcze o niej zapomnieć. I naprawdę dobrze znałem Kenta.

- A co to ma do rzeczy? - spytała wbrew sobie.

- Dziewczyny, z którymi żył, były bardzo różne...

Cassidy aż do bólu zaciskała pięści. Ta liczba mnoga była zamierzona.

- ...ale na pewno nie były ani spokojne, ani pogodne, ani opanowane.

- Skąd wiesz? Czyżbyś je wszystkie odnalazł i posprawdzał? - wyrzuciła przez ściśnięte gardło. - Czy też miałam zaszczyt być otoczona specjalną opieką?

- To nie ja zrobiłem z ciebie specjalny przypadek - powiedział spokojnie.
- Sama się nim zrobiłaś, nie pamiętasz?

Poczuła, jakby oblał ją zimną wodą. Jak mogła choćby przez najkrótszą chwilę zapomnieć o dziecku?

- Ta maska, którą podobno noszę... Czy sądzisz, że twoim życiowym zadaniem stało się ją zerwać? - Pokręciła głową. - To niezbyt mądrze z twojej strony, Reid. Dałeś mi dzisiaj sporo istotnych informacji...

- Którymi możesz mnie szantażować? Nie sądzę. Za bardzo chcesz napisać ten artykuł, by tak ryzykować.

- To prawda, że chcę go napisać - powiedziała spokojnie. - I napiszę, albo z twoją współpracą, albo bez niej. Co wolisz?

Uśmiechnął się pod nosem.

- Pytałaś, zdaje się, jak dokładnie rozwiążę problem finansowania, żeby przy tym samym standardzie mieszkania kosztowały tylko jedną trzecią ceny? - powiedział, wracając nagle do rzeczowego tonu.

Cassidy odetchnęła. Reid przestał mówić, przechylił na bok głowę, przyglądając się jej.

- To brzmiało jak westchnienie ulgi, Cassidy - powiedział łagodnie. - Dlaczego? Czy dlatego, że w głębi serca wiesz, że mam rację?

- Czy zawsze miałeś zwyczaj mówienia ludziom, jak mają żyć, czy też to ja budzę w tobie takie instynkty?

Nie odpowiedział, ale miała wrażenie, że pytanie go zaskoczyło.

- Zdecyduj się, Reid. Możesz ze mną współpracować przy tym artykule albo z wątpliwym skutkiem próbować zmieniać moje życie. Nie możesz mieć obu rzeczy na raz. Zdecyduj się więc, na czym ci bardziej zależy. - Zamknęła notatnik i wstała. - Zawiadom mnie o swojej decyzji. A teraz muszę pójść i zobaczyć, co wyrabiają moje dziewczyny w sali balowej. Nigdy nie wiem, co może strzelić im do głowy.

Wydawał się rozbawiony jej słowami. Przez chwilę myślała, że odmówi ruszenia się z miejsca.

- Ach, tak - powiedział. - Twoje dziewczęta cię potrzebują. Nie musisz mnie odprowadzać do drzwi, sam znajdę drogę.

Nie odprowadziła go. Gdy tylko wyszedł z pokoju, padła z powrotem na krzesło i słuchała zanikającego dźwięku kroków na schodach. Ale w głowie wciąż brzmiało echo jego słów: *"Póki mówisz sobie, że musisz tu pracować, by mnie spłacić, unikasz spojrzenia w oczy prawdziwej przyczynie"*.

Była zmęczona, jej mózg nie pracował jak należy i miała kłopoty z zebraniem myśli. Przez ostatnie miesiące było jej tak ciężko. Pracowała na dwóch posadach, wymagających koncentracji i poświęcenia czasu. W lecie będzie łatwiej - w akademiku zostanie niewiele dziewcząt i przepisy nie będą tak rygorystycznie przestrzegane. Cieszyła się też na dwutygodniową przerwę między semestrem wiosennym i letnim. Nie będzie wtedy miała żadnych obowiązków.

"Zostaw ten akademik. Zaczynaj naprawdę żyć, nie tylko udawać..."

Reid jest głupcem - pomyślała. - Nie unikam mężczyzn ani nic w tym rodzaju. Po prostu nie mogę się czuć wolna, dopóki wisi nade mną ten dług.

A nawet przy dwóch posadach spłacanie zajmie dużo czasu. Gdy skończy, będzie już po trzydziestce...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cassidy oparła łokcie na biurku i objęła dłońmi głowę, która dzisiaj ważyła chyba z tonę. Przed nią leżał otwarty notatnik z kilkoma zapisanymi linijkami. W większości były to nazwiska ludzi, którzy mogą coś wiedzieć o nowym projekcie Reida Cavanaugh albo mogą znać ludzi, którzy z kolei mogliby coś wiedzieć. Była to bardzo krótka lista, co niewątpliwie przyczyniło się do jej bólu głowy. Było już późne popołudnie i coraz bardziej wyglądało na to, że Reid zamierza złapać ją za słowo. Miał już niemal cały dzień na nawiązanie kontaktu, ale najwyraźniej wcale nie zamierzał tego zrobić. Teraz więc sama będzie musiała zebrać materiał do artykułu albo zrobi z siebie idiotkę - groziła przecież, że da sobie radę, a wcale nie była pewna, że jej się to uda.

Nie chodziło nawet o to, że zrobi z siebie idiotkę. Ale temat był rzeczywiście interesujący i nie chciała go tak po prostu odpuścić. Z drugiej strony nie mogła opublikować tylko połowy całej historii i nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby dopowiedzieć resztę.

Wpatrywała się w listę nazwisk. Brian miał dobry pomysł, wysyłając ją na przyjęcie, by nawiązała właściwe kontakty, ale szkoda, że nie zrobił tego o rok wcześniej!

Nie możesz jasno myśleć - powiedziała sobie. - Przez pół nocy byłaś na nogach, pomagając dziewczętom przy dekoracjach i teraz wpadasz w panikę, że temat, który mógł ci przynieść nagrodę, wymyka ci się z rąk. To wszystko.

Gdyby Reid wszystko zaplanował, nie mógłby jej zgrabniej złapać w pułapkę. Od tej myśli dostała gęziej skórki. A może tak właśnie było?

Przemyślała to przez moment, ale potrzęsnęła głową. Ten projekt nie mógł być pułapką. Reid mówił o nim absolutnie poważnie. I dlaczego miałby chcieć publicznie ją ośmieszyć? Przecież na nim też by się taka historia musiała odbić...

Jesteś tak zmęczona, że wpadasz w paranoję - pomyślała. Jeszcze dwa tygodnie i będzie łatwiej, będzie więcej wolnego czasu na spacer, może nawet na zakupy.

Do diabła z Reidem! Sama myśl, że bez powodu zapracowuje się na śmierć sprawiała, że świat w ogóle wydawał się bardziej ponury. Przez

wszystkie miesiące pracy w akademiku nigdy nie przyszło jej do głowy, by zrezygnować, ale po komentarzach Reida obudziła się wczesnym rankiem z myślą, jak miło by było mieć własny kąt i nie ponosić za nikogo odpowiedzialności...

- Wyglądasz, jakbyś balowała przez całą noc. - Chloe McPherson odłożyła słuchawkę telefoniczną i obróciła się w stronę Cassidy. - Czy ciebie nie obowiązuje cisza nocna?

- Niestety, jest różnica między zamknięciem bramy i ciszą nocną. Wczoraj aż do świtu malowałyśmy konstelacje.

- Konstelacje? - Chloe zrobiła minę, jakby podejrzewała Cassidy o utratę zmysłów.

- No wiesz, dekoracje na przyjęcie. Nie wiem, jak inne opiekunki sobie z tym radzą. Ta z sąsiedniego akademika ma już ponad siedemdziesiąt lat. Jest tak słodka i matczyna, że sama chętnie wypłakiwałam się jej na ramieniu, ale jak daje sobie radę...

- Może pozwala dziewczynom własnoręcznie malować konstelacje. Chciałabym z tobą porozmawiać, Cassidy.

Cassidy skoncentrowała uwagę na wkładaniu nowego grafitu do automatycznego ołówka.

- Tak? O czym?

- O twoim przyjacielu, Reidzie Cavanaugh.

A więc zdecydował się na rozmowę z Chloe.

- Dane do artykułu? - Cassidy starannie kontrolowała ton głosu.

- Może kiedyś. Intryguje mnie ten facet. Nikt nie potrafi powiedzieć o nim złego słowa...

- To znaczy, że jako temat artykułu byłby dość nudny. - Mimo wagi tej rozmowy, Cassidy z trudem stłumiła uśmiech. Reid - nudny? Na pewno nie.

- Zawsze ciekawią mnie tacy ludzie. Nikt nie jest absolutnie doskonały i chciałabym wiedzieć, co nim kieruje. Na przykład to stypendium dla ciebie...

Cassidy nie mogła opanować drżenia.

- Psiakość - powiedziała szybko. - Jak zmieniam grafit w tym cholernym ołówku, zawsze się ukłuję. - Wsadziła palec do ust, pewna, że Chloe nie zainteresuje się tym bliżej.

Na jej biurko padł długi cień. Podniosła zaniepokojony wzrok, ale mężczyzna w liberii, który zatrzymał się przy biurku, był jej całkowicie obcy. Jego ciemno-pąsowa marynarka miała na kieszonce wyhaftowany emblemat. Taki sam znak widniał na trzymanej przez niego torbie.

- Panna Adams? Mam dla pani przesyłkę z delikatesów Gourmandiego. - Z uśmiechem postawił torbę na biurku i kłaniając się zniknął, zanim wydusiła z siebie podziękowanie.

Chloe nie przestawała mówić.

- Czy był to po prostu dobry uczynek, czy są ku temu jakieś inne powody? I ilu ludziom pomógł skończyć uniwersytet? A poza tym...

- Jasne, porozmawiamy kiedyś o nim - przerwała jej Cassidy pozornie beztroskim tonem. - *Jestem pewna, że za jakieś dziesięć lat znajdę dla ciebie parę minut* - dodała w myśli.

Podejrzliwie przyjrzała się stojącej przed nią torbie. Na pewno nie zamawiała niczego od Gourmandiego, w najbardziej wytwornych i drogich delikatesach w mieście. Zajrzała do środka - w torbie znajdował się litrowy słój wspaniałych oliwek.

Nagle milczenie przy sąsiednim biurku sprawiło, że uniosła wzrok. Chloe wpatrywała się w zawartość torby.

- No cóż, jestem tylko prostą kobietą - powiedziała. - Gdy zamawiam jakieś jedzenie, to na ogół jest to pizza albo hamburger, a nie oliwki w takich ilościach. Chyba, że w tej torbie masz także butelkę dżinu i wermut.

Potrzebne do zrobienia martini... No jasne, pomyślała Cassidy. Ten sam rodzaj oliwek, które można dostać tylko u Gourmandiego, podawano do martini na przyjęciu w "Chatce". Powiedziała później Reidowi, że je lubi.

- Niestety, Chloe. Nie ma dżinu.

Nie było także żadnej kartki, ale jej nie potrzebowała - jedynie Reid mógł przysłać oliwki. Zastanawiała się tylko dlaczego. Czy miał to być znak pojednania czy wyzwania? Najwyraźniej miała z tego coś zrozumieć, ale nie bardzo wiedziała, co.

- Jaka szkoda - westchnęła z żalem Chloe, zapominając na chwilę o Reidzie.

Cassidy wykorzystała okazję i wybiegła z biura, rzucając przez ramię jakieś wyjaśnienie o zapomnianym spotkaniu.

Pewnie nie uda mi się całkowicie wywinąć z rozmowy o Reidzie - pomyślała Cassidy - ale muszę sobie wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego nie chcę o nim mówić. Chociaż z drugiej strony - gdybym połączyła siły z Chloe, miałby się z pyszna!

Była w kuchni, usiłując wypracować kompromis między członkiniami komitetu organizacyjnego przyjęcia, proponującymi nieprawdopodobnie długą listę przysmaków, bez których zabawa nie może się odbyć - a kucharką, która musiałaby szykować to wszystko poza normalną pracą, gdy drzwi otworzyły się i wysoki, dziewczęcy głos zawołał: - Cassidy! Przyszedł twój ulubiony mężczyzna!

Cassidy odwróciła się z rezygnacją w stronę wahadłowych drzwi. To była właśnie Heather z wysokim, szpakowatym mężczyzną, ubranym w tweedową, sportową marynarkę.

- Ponieważ nazywamy Cassidy mamuszką - powiedziała dziewczyna - trochę dziwnie mówić do pana: panie Cavanaugh. Czy wolałby pan, żebyśmy zwracały się: tatuśku, czy po imieniu? Wielu ojcymów woli to drugie...

- Dość tego, Heather - ucięła ostro Cassidy. Po wyrazie twarzy dziewczyny zorientowała się, że takiej właśnie reakcji z jej strony oczekiwano. Ugryzła się w język, ale zbyt późno.

Śmiejąc się, Heather uciekła z kuchni. Reid najwyraźniej był rozbawiony. Z wdzięcznością przyjął od kucharki filiżankę kawy, spróbował jednego z małych kotlecików, które wywołały przedtem dyskusję i rozsiadł się na wysokim stołku. Cassidy straciła zimną krew.

- Wszystko mi jedno, co będziecie jeść w sobotę wieczór - powiedziała komitetowi przygotowawczemu. - Ale jeśli chcecie coś ekstra, musicie pomóc w przygotowaniach. Jasne?

Dziewczęta, najwyraźniej zaskoczone niezwykle u niej ostrym tonem głosu, pokornie przystały na ten warunek.

- A ty czego chcesz? - Cassidy zwróciła się do Reida.

- Zamienić z tobą parę słów - mruknął.

- Na jaki temat?

- Czy nie otrzymałaś moich przeprosin? - Reid uniósł brwi.

- To były przeprosiny? A ja sądziłam, że to słój oliwek. - Jej głos brzmiał ostro, choć w środku czuła- ale co? Ulgę? Zadowolenie? Irytację? - Poza tym dlaczego uważasz, że wymagałam od ciebie przeprosin?

- Oj, wymagałaś. - Uśmiechnął się. - Może wolisz, bym padł na kolana? Zrobię to, jeśli chcesz, ale wtedy zaczną się plotki. Lepiej zrobić to na osobności.

- Chodź na górę - Cassidy poddała się. - I tak byś tam w końcu dotarł. Sądzę, że dziewczyny wpuściłyby cię, nawet gdybym akurat brała prysznic.

- Tak sądzisz? - Zastanawiał się przez chwilę. - W takim razie, Cassidy, kiedy zwykle bierzesz prysznic?

Gdy weszli do pokoju Cassidy, Reid zamknął drzwi, oparł się o nie i powiedział szybko:

- Miałaś wczoraj rację. Próbowałem pouczać cię, jak powinnaś żyć i co robić, a to nie moja sprawa. Jeśli obiecami nie wracać do tematu pieniędzy, wybaczysz mi? - Jego głos drżał lekko i zdaniem Cassidy był nieco zbyt teatralny.

- Ani słowa więcej na ten temat? - spytała.

- Ani jednego - potwierdził pokornie.

Przez chwilę trzymała go w niepewności.

- W porządku. Ogłaszam zawieszenie broni. Ale...

- To zajmijmy się moimi planami - powiedział szybko, już bez drżenia w głosie.

Zmiana tematu spowodowała, że Cassidy poczuła się nagle przygnębiona. *Wszystko w porządku - powiedziała sobie. - Wiesz, jak bardzo zależy mi na tym artykule, znacznie bardziej niż na twoich historiach ze splatą długu. Gdy wczoraj stąd wyszedł i uspokoił się, zdał sobie z tego sprawę, więc nie powinno cię to dziwić.*

- Następnym razem, gdy zechcesz mnie za coś przeproszać... - zaczęła lekkim tonem.

- Nie sądź, że mi to wejdzie w nawyk.

- ...zamiast oliwek przyślij proszę te wielkie brazylijskie orzechy. Tyler-Royale ma najlepsze, na stoisku ze słodyczami - wyciągnęła notatnik.

- Zawsze lubiłaś jeść takie rzeczy?

- Zawsze. Ćwiczyłam na nich mleczone zęby. A wracając do ceny mieszkań...

Wydawało jej się, że dostrzega błysk w jego oczach, sygnalizujący, że nie chce powiedzieć całej prawdy. Ale w ciągu następnej pół godziny, gdy rozmawiali o całym projekcie, pozbyła się wszelkich podejrzeń. Swobodnie mówił o wszystkim i nie była w stanie złapać go na jakimkolwiek przemilczeniu. W końcu odgięła się do tyłu na krześle i przymknęła oczy.

- To całkowicie nowe podejście do problemu.

- Nie bardzo. Po prostu zebrałem razem różne elementy, które wypróbowywano już wcześniej w innych przedsięwzięciach - ze zmiennym szczęściem--

- A jednak...

- Od lat mamy bloki z fabryk domów. Przejąłem wiele z ich technologii, ale będę budować na miejscu, a nie przywozić z fabryki gotowe elementy do montażu.

- Wykorzystując mniej wykwalifikowanych robotników.

- Przy proponowanej przeze mnie technologii robotnicy nie potrzebują wysokich kwalifikacji.

- Czyli, inaczej mówiąc, tańsza siła robocza.

- To się z tym wiąże.

- I dlatego twoje związki nie są zbyt zadowolone z całego pomysłu.

- Powiedziałbym, że w tym momencie obawiają się dwustopniowej siatki płac. Jeszcze nie zdali sobie sprawy, że w ten sposób możemy zbudować znacznie więcej domów. Poza tym przy tych nowych metodach nie będziemy

mieli sezonowych robót, które zawsze były przekleństwem w budownictwie mieszkaniowym. Parkieciarz nie może pracować przez cały rok, bo nie ma dość gotowych podłóg, na których można kłaść parkiet. Tutaj będziemy budować dwa razy więcej podłóg, więc...

Bezwiednie narysowała kwiatek na brzegu notatnika.

- Dlaczego to robisz, Reid?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Co ty będziesz z tego miał? Najwyraźniej nie zarobisz na tym wiele pieniędzy.

- Nie na jednostce mieszkalnej. Ale na wszystkich razem...

Cassidy potrząsnęła głową.

- Nadal niewiele, w porównaniu z ponoszonymi przez ciebie kosztami inwestycji. Więc dlaczego?

Milczał przez długą chwilę.

- Wielu moich własnych robotników jest w tej sytuacji, o jakiej pisałaś. Nie mogą sobie pozwolić na kupno mieszkań, które budują.

- Ale to nie twój problem. Mnóstwo ludzi kupuje twoje najdroższe apartamenty. Dlaczego więc podejmujesz takie ryzyko przy tak niewielkim zysku?

- To pytanie nie w twoim stylu, Cassidy.

- Jeśli to pytanie ci się nie podoba, ciesz się, że nie rozmawiasz z Chloe.

- Ciągłe się martwisz, czego może się dopatrzeć w moim charakterze? - Uśmiechnął się. - Daj spokój. Moja sekretarka zadzwoniła do niej dziś po południu i powiedziała, że jestem teraz zbyt zajęty, ale może znajdę dla niej czas na jesieni. Więc zapomnij o Chloe.

- Cieszę się, że nie odmówiłeś jej wprost - powiedziała cicho Cassidy. - Chloe potrafi być, no... nie wiem... twarda. I wydaje mi się, że teraz stała się jeszcze gorsza. Mam nadzieję, że to minie, gdy znów wciągnie się w pracę, ale zastanawiam się... - przerwała, wpatrując się ze zdumieniem w sylwetkę dziecka na marginesie notatnika. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co rysuje.

- Zastanawiasz się nad czym?

- Czy nie chodzi o Teresę - kontynuowała cicho, jakby do siebie. - To jej córeczka. Chloe chce pracować, ale wydaje mi się, że czuje się winna, zostawiając dziecko w przedszkolu, gdy nie musi... To znaczy, świetnie sobie radzi bez jej zarobków. To właśnie była jedna z przyczyn... - przerwała nagle, jakby właśnie ocknęła się na brzegu przepaści.

- To właśnie była jedna z przyczyn...? - powtórzył pytająco Reid.

- Ach, nic - Cassidy wzruszyła ramionami. - Zresztą, jakie mam prawo sądzić Chloe?

Zapadła cisza. Po chwili odważyła się spojrzeć na niego, uśmiechając się szeroko, chcąc zażartować na temat doświadczeń macierzyńskich przy trzydziestu dwóch podopiecznych. Ale współczucie, które dostrzegła w jego oczach sparaliżowało jej struny głosowe.

- Jedna z przyczyn, dla których zdecydowałaś się oddać Czekoladkę - powiedział. To nie było pytanie.

Próbowała się roześmiać.

- Myślałam, że zapomniałeś już o tej bzdurce.

- Zapomnieć o Czekoladce?! - Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. - Jak mógłbym...?!

- Nie o dziecku, nie sądzę, byś mógł o nim zapomnieć. Ale to przezwisko... - Czują, że traci panowanie nad sobą, ale nie mogła się uspokoić. - Te głupstwa... - Ale dla niej to nie były głupstwa, więc nagle rozplakała się, szlochając nieprzytomnie.

- Cassidy... - Reid przykucnął tuż przy krześle i położył rękę na jej ramieniu. - Przepraszam. Tak mi przykro, że ci przypomniałem...

- Przypomniałeś? - Spojrzała na niego przez łzy. - Przecież wszystko zawsze mi przypomina! Za każdym razem, gdy widzę małe dziecko albo...

Słowa Cassidy stały się niezrozumiałe, wydobywały się przez ściśnięte gardło. Ze złością odrzuciła na bok notatnik i zaczęła szukać chusteczki. Reid wcisnął jej do ręki swoją, a jej wielkość i miękkość wywołały nowe łzy - zupełnie, jakby wcisnął do ręki dziewczyny niemowlęcy kocyk.

A potem nagle znalazła się w objęciach Reida, który kołysał ją, jakby to ona była dzieckiem. Schowała twarz na jego ramieniu.

- Spokojnie, Cassidy. Wszystko w porządku. Wypłacz się. Wypłacz się, Cassidy - szeptał Reid z ustami w jej włosach.

Płakała więc, wtulona w jego ciepłe ramiona, wsłuchana w bicie jego serca tuż przy swoim policzku. A gdy nie miała już więcej łez, uspokoiła się powoli, czując się chwilowo bezpieczna.

- Przez cały ten czas wydawało mi się, jakby nigdy naprawdę nie istniało. Z nikim nie mogłam o tym porozmawiać... - szepnęła.

- Nigdy nikomu nie mówiłaś?

Potrząsnęła głową.

- A ty?

- Też nie, ale...

- Ale to co innego? - spytała smutno. - Może i tak, dla ciebie... - I uwierzyłaby w to, gdyby nie spojrzała na niego i nie zauważyła, że wyraz jego oczu był lustrzanym odbiciem jej własnego bólu. Czy on też żałował - nie dziecka Kenta, ale Czekoladki, nowego życia?

Podniosła rękę do jego policzka, chcąc go pocieszyć, w zwykłym, przyjacielskim geście. A gdy schylił głowę, by ją pocałować - no cóż, to też był tylko przyjacielski gest.

Ale przyjacielskie pocałunki nie powinny wywoływać takiego uczucia bezbronności i rozmarzenia, które odbierało zdolność ruchu. Leżała więc nadal w jego ramionach. Przyjacielskie pocałunki na ogół nie budzą ognia w kobiecie. Przyjacielskie pocałunki nie powodują takiego zamętu w myślach...

Mówiła to sobie cały czas, gdy ją całował, pobudzał do życia wszystkie komórki jej ciała. W końcu przestała w ogóle myśleć, tylko poddała się sile jego ramion i żarowi jego ust, niezwykłym doznaniom, które budziły jej uspięne zmysły.

Gdy w końcu przestał ją całować i wypuścił z ramion, jej ciało przeżyło wstrząs, nagle, choć delikatnie, pozbawione ciepła i oparcia jego ciała. Gdyby rzeczywiście kochał się z nią, a potem wyszedł bez słowa, szok nie mógłby być większy.

Opuściła głowę, by ukryć nagły rumieniec na policzkach. Reid patrzył na nią przez chwilę, a potem podszedł do zlewu, by zamoczyć ręcznik w zimnej wodzie. Podał go jej bez słowa.

- Muszę wyglądać koszmarnie - Cassidy próbowała się roześmiać i zaczęła wycierać twarz.

- Chyba już lepiej się czujesz, skoro przejmujesz się swoim wyglądem - powiedział nieobecny tonem.

- Dzięki, że przerwałeś tę scenę.

- Sądziłem, że trzeba, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Cassidy spuściła oczy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie wiem, co mnie naszło. Zapewniam cię, że nie miałam zamiaru...

- ...wykorzystywać mnie? Zabawne, to samo chciałem ci powiedzieć.

- No cóż, ulżyło mi - powiedziała z lekkim przekąsem, nie patrząc na niego.

- Cassidy... - zaczął i przerwał, jakby nie wiedząc, co mówić dalej.

Zaczynała ją boleć głowa. Zwariowałaś - powiedziała sobie. - Zwykły przyjacielski pocałunek, a ty wysnuwasz z tego nieprzytomne wnioski. Nawet nie dotknął cię nigdzie tam, gdzie nie dotknąłby cię brat...

Brat. Przez chwilę zapomniała zupełnie o Kencie. Ale Reid najwyraźniej o nim pamiętał.

Cassidy niemal z ulgą przyjęła pukanie do drzwi. Heather wsadziła do środka głowę i wydawała się rozczarowana platoniczną sceną w pokoju.

- Mamy kilka nowych pomysłów na dekoracje - powiedziała. - Mogłabyś przyjść i popatrzeć?

- Jasne. Za chwilę będę na górze. - Cassidy spojrzała na Reida. - Ciągłe chcą w ostatniej chwili coś zmieniać, więc jeśli nie pójde i nie dopilnuję...

- Bardzo wygodne - mruknął Reid. - Czy trudno je było nauczyć, by przychodziły za każdym razem, kiedy masz gościa?

- Słuchaj, Reid - zaczęła Cassidy ze złością. - Obiecałeś już do tego nie wracać.

- Obiecałem nie wspominać więcej o pieniądzach.

- To to samo - powiedziała z uporem. - Moja wizyta na górze może chwilę potrwać, więc nie musisz na mnie czekać.

- Pewnie. Nie mam zamiaru - odpowiedział gładko, biorąc marynarkę.

Jej słowa były wypowiedziane ostrzej, niż chciała, próbowała więc załagodzić sytuację, gdy odprowadzała go do drzwi.

- Naprawdę nie chodziło mi o to, by się ciebie pozbyć. Ale na pewno masz inne rzeczy do zrobienia...

- Mnóstwo - uśmiechnął się. - Daj mi znać, kiedy zechcesz przedyskutować szczegóły, Cassidy. Zadzwoń, gdy będę miał coś nowego.

I zniknął w ciemnościach nocy. Głupio czuć się nagle tak samotnie. To tylko to chłodne nocne powietrze - powiedziała sobie. Nic wspólnego z Reidem, nic osobistego. Pocałował ją - i to wszystko. Nie ma z czego robić sprawy.

Ale nie chciałaś, żeby przestał - wtrącił się głos sumienia. Cassidy oparła się o framugę drzwi wejściowych, ściskając rękoma skronie, usiłując wyciszyć ten wewnętrzny głos. Ale głos mówił prawdę. Z chęcią kochałaby się z nim, gdyby tego chciał...

To odkrycie wstrząsnęło nią do głębi. Przez cztery lata bez problemów wyrzekała się fizycznej bliskości, mówiąc sobie, że ani nie potrzebuje, ani nie chce czuć niewygodnej tęsknoty za intymnością. A teraz własne ciało przypomina jej, że ten głód nie umarł, jedynie przysnął na chwilę. A jeśli się obudzi...

To było bardzo nieprzyjemne odkrycie.

Weszła na górę do sali balowej, by wysłuchać najnowszego pomysłu. Dziewczęta chciały zawiesić reflektory w każdym kącie, by oświetlały gwiazdy i obłoki na suficie. Cassidy pokręciła głową.

- Zbyt wiele światła za dużo odkrywa - powiedziała. - Lepiej zostawić rzeczy niedopowiedziane, nieco tajemnicze, i cieszyć się z nastroju.

W końcu udało jej się wyperswadować dziewczętom ich pomysł, ale było już dobrze po północy, gdy rozebrała się i wślizgnęła do łóżka. Cieszyła się

nawet, że jest tak późno, bo w tym stanie zmęczenia nie będzie leżała bezsennie przez pół nocy, myśląc o... różnych sprawach.

Bądź uczciwa - napominała się w myśli. - *To nie różne sprawy nie dają ci spać, ale Reid, przyczyna nagłego, kłopotliwego odkrycia.* Na szczęście nie zrozumiał jej reakcji i nie zdawał sobie sprawy z tego, jak łatwo zgodziłaby się pójść z nim do łóżka...

Ale wiedział. Musiał wiedzieć.

To nagłe zrozumienie było jak cios w splot słoneczny, odbierające dech i powodujące nagły, ostry ból. Reid nie był niedoświadczony, najwyraźniej wiedział, jak działa na kobiety. Na pewno miał różne romanse. Był dyskretny, ale to nie znaczy, że zimny.

A zatem na pewno zrozumiał jej reakcję i zaproszenie.

Ale go nie przyjął. Zamiast tego uwolnił ją z objęć i dał jej - mokry ręcznik!

Sugestia zimnego prysznica byłaby zapewne mniej taktowna, lecz bardziej na miejscu - powiedziała sobie gorzko.

Przedtem mówił, że chciałby z niej zerwać maskę, by znowu zaczęła czuć. Ale gdy dziś zachowała się zezwalająco, nie wykorzystał tego. Opuścił ją przy pierwszej nadarzającej się okazji. Bardzo się śpieszył.

Wcisnęła twarz w poduszkę. Policzki paliły ją z upokorzenia.

Mówiła sobie, że powinna być tak wściekła, by nigdy już nie chcieć go widzieć. Ale to nie była prawda. Mówiła sobie też, że powinna być mu wdzięczna, iż nie wykorzystał kobiety, która go nie obchodzi. Ale nic nie pomagało. Fakt, że sobie poszedł, sprawiał, że tęsknota była jeszcze trudniejsza do zniesienia.

W chłodnej ciemności pokoju musiała przyznać, że jej pragnienie nie było chwilową aberracją. Ciągle chciała, by dotykał ją i całował tak, żeby nie była w stanie myśleć o niczym innym, poza ich obopólną rozkoszą. Chciała, by ją tulił, pieścił, dzielił z nią intymny, sekretny świat kochanków...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cassidy lubiła pracować z pewnym wyprzedzeniem, by być możliwie jak najbardziej przygotowaną na różne niespodzianki, które zawsze zdarzały się przy pracy w gazecie. Nauczyła się pisać fragmenty artykułu w miarę zdobywania nowych informacji i nie czekać, aż zgromadzi cały potrzebny materiał, by wtedy dopiero zasiąść do komputera. W ten sposób była w stanie skończyć reportaż w godzinę, gdy uzupełniła wszystkie brakujące dane. Czasami taka praca z wyprzedzeniem owocowała artykułem składanym w momencie zamykania numeru "Alternative" - inaczej musiałaby czekać do następnego dnia, a wtedy zdarzało się, że inna gazeta wyprzedzała ją z podaniem informacji. A to był główny grzech każdego dobrego reportera.

Do piątku udało jej się zebrać wszystkie fakty, dotyczące projektów mieszkaniowych Reida. Nie ukończona, pierwsza wersja artykułu spoczywała bezpiecznie w najniższej szufladzie biurka. Brakowało oczywiście pointy - ta musiała poczekać na wynik negocjacji. Było również kilka luk do wypełnienia - na przykład reakcja przywódców związkowych, z którymi mogła rozmawiać dopiero wtedy, gdy zapadnie ostateczna decyzja. Było też kilka szczegółów, które tylko Reid mógł uzupełnić.

Reid powiedział, żeby porozumiała się z nim, gdyby potrzebowała dalszych informacji. Ale jakoś do tego nie doszło. Za każdym razem, gdy podnosiła słuchawkę telefonu w redakcji, do jej biurka podchodziła Chloe albo Brian wzywał ją do biura, albo jakiś inny reporter chciał z nią porozmawiać. Natomiast wieczory musiała bez reszty poświęcać swoim dziewczętom i ich przygotowaniom do balu. Poza tym nie chciała dzwonić do Reida do domu, bała się, że jego matka mogłaby odebrać telefon.

W piątek rano wpatrywała się bezmyślnie w ekran komputera, bezskutecznie usiłując napisać zupełnie zwyczajny artykuł. *Bądź przynajmniej szczerą wobec samej siebie - napominała się w duchu. - To nie matki Reida się boisz, choć oczywiście nie masz szans na zostanie jej ulubioną powiernicą. Chodzi o samego Reida, ten przeklęty, kłopotliwy pocałunek i twoją na niego reakcję... Odkryłaś nagle, ku własnemu przerażeniu, że nie jesteś soptem lodu. Zwariowana, czysto fizyczna reakcja.*

To oczywiście denerwujące, że Reid miał rację. W chwili gdy zbliżyła się do mężczyzny, zaczęła znowu odczuwać swoją płęć. Ale reagowanie na czyjąś fizyczną atrakcyjność nie jest przecież zbrodnią i nic poza tym nie znaczy. Jest

dorośla, a dorośli, gdy przydarza im się coś takiego, wzruszają ramionami i żyją dalej.

W końcu więc, przekonawszy samą siebie, gdy tylko Chloe odeszła od biurka, sięgnęła po słuchawkę telefoniczną i zadzwoniła do biura Reida. Sekretarka powiedziała, że szef jest nieobecny i powinien pojawić się dopiero w poniedziałek. Wtedy przekaże mu informację, że Cassidy dzwoniła.

Gdy skończyła rozmowę, każdy reporterski nerw w jej ciele był napięty. Nie tylko nie było go w biurze, ale sekretarka nie wiedziała, gdzie można go znaleźć. Jediną przyczyną takiego stanu rzeczy, która przyszła jej do głowy, było spotkanie, od którego zależał los projektu Reida. Co prawda obiecał jej, że zatelefonuje, gdy będzie już coś wiedział... Równocześnie jednak stwierdził stanowczo, że ona sama nie może uczestniczyć w konferencji. I nie mówił, że poinformuje ją z wyprzedzeniem. Co prawda, czego się po niej spodziewał? Że przebierze się za agenta CIA i będzie się kryć w korytarzu?

Mówił coś przedtem, że w sobotę jest zajęty. Sądziła, że będzie grać w golfa, ale w gruncie rzeczy nie wyjaśnił, co ma zamiar robić. Można założyć, że już wtedy wiedział...

- To musi być interesujący temat - powiedziała Chloe, wracając do biurka z puszką coli. - Gapisz się w ekran tak, jakby były na nim sprawy najwyższej wagi.

- W każdym razie istotne dla ludzi, których dotyczą - odpowiedziała Cassidy. Uwaga Chloe sprowadziła ją z powrotem na ziemię. Powinna być w biurze ostrożniejsza.

Cassidy była pewna, że jeśli Reid jest na konferencji, jego sekretarka dałaby się raczej pokroić na kawałki, niż ujawnić miejsce jego pobytu. Ale były inne sposoby zdobycia informacji. Na przykład gospodyni w "Chatce". Pani Miller i Cassidy zawsze się lubiły...

W sobotę rano, gdy jej zastępczyni w akademiku zaproponowała, by zrobiła sobie wolne, Cassidy wskoczyła do samochodu i pojechała do Mission Hills, zanim miała czas przemyśleć sensowność takiego kroku.

"Chatka" stała cicha, skąpana w słońcu. Gdy Cassidy zbliżała się do kuchennych drzwi, jedynie pszczoły bzyczały wśród kwiatów gruszy przed oknem jadalni.

Nagle zza krzaków wyłoniła się czyjaś głowa. Wrażenie było tak niesamowite, że przez moment Cassidy miała ochotę uciec. Zaraz potem za głową, na wpół schowaną pod rondem wielkiego kapelusza, pojawiły się trzymające sekator ręce w ogrodniczych rękawicach. W każdym razie nie był to żaden ukrywający się w krzakach wariat, tylko matka Reida, co mogło okazać się jeszcze gorsze.

Nigdy przedtem nie widziała z bliska Jenny Cavanaugh. Piękną, arystokratyczną twarz, znaną jej z fotografii, znaczyły teraz zdradzające wiek zmarszczki, ale Cassidy miała wrażenie, że Jenna nie poddaje się bez walki. - Wygląda tak - pomyślała Cassidy - jakby nigdy niczego nie oddawała bez walki.

- Słucham? - spytała Jenna nieco niechętnym tonem, ale gdy tylko Cassidy odwróciła się w jej stronę, a słońce rozświetliło jej złotorude włosy, niezadowolenie zniknęło. - Ty jesteś Cassidy, prawda?

Cassidy nie mogła zaprzeczyć. - *Złapała mnie - pomyślała. - I co mam teraz powiedzieć?*

Jenna Cavanaugh uśmiechnęła się i nieprzyjazna surowość jej twarzy zniknęła. Zmarszczki przy ustach zmieniły się w zmarszczki od śmiechu, a ostre linie szczęki złagodniały.

- Więc Reid powiedział ci, że chciałabym cię poznać? Poczekaj chwilę, pozbędę się narzędzi i umyję ręce, a potem zrobię kawę i porozmawiamy.

Zanim Cassidy mogła zaprotestować, została wprowadzona do kuchni, a Jenna zajęła się robieniem kawy, cały czas mówiąc.

Przecież ona wcale nie jest sztywna i nieprzyjazna - pomyślała Cassidy. - Jest smutna, i może trochę samotna. Widocznie z latami złagodniała.

Kuchnia była jak zwykle czyściutka. Jenna najwyraźniej czuła się tu u siebie, a pani Miller nigdzie nie było widać. Cassidy spytała o nią, gdy Jenna stawiała na tacy porcelanowe filiżanki i talerz malutkich ciasteczek.

- Ach nie, nie odeszła, Reid by sobie bez niej nie dał rady - odpowiedziała Jenna. - Robi tylko jakieś ostatnie zakupy. Może wypijemy kawę na werandzie? Dzień jest tak piękny, że nie chcę siedzieć w domu. Będzie mi jej bardzo brakowało.

Cassidy zamrugła, nie rozumiejąc, podczas gdy Jenna nalewała kawę.

- Ach, oczywiście, to musiało dziwnie zabrzmieć. Jestem tak podniecona moim nowym gniazdkiem, że zapominam, że nie wszyscy o nim wiedzą.

- Przeprowadza się pani?

- Kupiłam mieszkanie w "Walnuts". Wiesz, niedaleko Country Club Plaża.

Cassidy kiwnęła głową. Każdy znał "Walnuts", najelegantszy zespół mieszkaniowy w mieście. Był jeszcze bardziej wytworny niż najdroższe bloki mieszkalne Reida. Najwyraźniej w inwestycjach Jenna nie kierowała się matczynymi uczuciami.

- Reid uważał, że jest pani tutaj dobrze - powiedziała, natychmiast tego żałując, bo to ostatecznie nie była jej sprawa.

- Och, Reid i ja wspaniale się zgadzamy. Ale cóż, przychodzi taki czas, gdy matka w domu to o jedną kobietę za wiele.

I to wszystko wyjaśnia - pomyślała Cassidy.

- Zapewne ma zamiar ożenić się. - Była dumna, że głos jej nie zadrżał. Ostatecznie cóż w tym dziwnego, że Reid chce mieć normalne małżeństwo, pewnie własne dzieci...

Przez krótką chwilę trzymająca filiżankę ręka Jenny zawisała nad spodeczkiem.

- Nic konkretnego mi nie powiedział - odrzekła w końcu.

No cóż, to na pewno nie jest stanowcze zaprzeczenie. Tak, Jenna wiedziała i chciała być pewna, że Cassidy także wie.

- Będzie mi brakowało ogrodu - powiedziała Jenna. To był konwencjonalny, bezpieczny temat. Wskazała ręką szeroki trawnik za domem, obrzeżony krzewami i kwiatami. - Mogę się przeprowadzić dopiero na jesieni, gdy mieszkanie będzie gotowe, więc w tym roku jeszcze o wszystko zadbam. Ale nie wiem, co potem stanie się z ogrodem.

- Reid chyba lubi rośliny, inaczej by ich tyle nie sadił. Na pewno...

- To prawda. Ale ogród potrzebuje stałej opieki, a Reid jest po prostu zbyt zajęty innymi sprawami. Na przykład dzisiaj, dzień jest piękny, a on co robi? - Ale to było czysto retoryczne pytanie, Jenna przerwała i smutnie potrząsnęła głową.

Cassidy chciała krzyknąć. Spokojnie, ostrzegła się. Jenna wie i jeśli dobrze to rozegrasz, powie ci.

- Spróbuję zgadnąć - powiedziała lekko. - Gra w tenisa? Czy też pracuje w soboty jak i w inne dni?

- Praca! - Jenna skrzywiła się. - To oczywiście wszystko bardzo szlachetne, poza tym mówi, że czasami lubi poczuć młotek w garści.

Coś przegapiłam - pomyślała Cassidy. - *To nie ma sensu.*

Jenna najwyraźniej dostrzegła w jej oczach brak zrozumienia.

- To ten jego męski klub. Dzisiaj reperują dach w jakimś domu na ulicy Charlotte, dla rodziny, która nie może sobie pozwolić na opłacenie naprawy.

Cassidy była kompletnie zaskoczona.

- Ależ...

- Reid ma zawsze miękkie serce, gdy w grę wchodzi dzieci - dodała Jenna. - A ta rodzina... Przepraszam, Cassidy, to było zupełnie bezmyślne z mojej strony. Nie chciałam sprawić ci bólu... Nie miałam dotąd okazji, by ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu twego dziecka.

Twego dziecka - jakby to nie był również jej wnuk. Cała gorycz, jaką Cassidy niegdyś czuła wobec Jenny Cavanaugh, powróciła.

- Ach, dziękuję - powiedziała sztywno, nie zastanawiając się, czy działa rozsądnie. - Ciekawa jestem, czy to samo by pani mówiła, gdyby żył.

- Dziecko czy Kent? - Jenna nie czekała na odpowiedź. - Widzę, że jesteś pełna gniewu. Reid powiedział mi, że tak czujesz, ale sądziłam, że do tej pory...

Cassidy z brzękiem odstawiła filiżankę.

- Co pani sądziła? Że zrozumieć, gdzie jest moje miejsce? Czy mam pani podziękować za sprzeciw wobec mojego małżeństwa z Kentem?

- Kent był pełnoletni - powiedziała Jenna cicho. - Mógł robić, co chciał.

- On tak nie uważał. Powiedział mi, że zdecydowanie odmówiła pani spotkania ze mną, odmówiła nawet wzięcia pod uwagę możliwości...

Jenna pochyliła się do przodu. Wargi miała zaciśnięte, w oczach błyszczały łzy.

- Nie rozumiesz, Cassidy? Był moim synem i nie żyje. Nie chcę o nim źle mówić.

Ale Cassidy nie była w stanie przerwać.

- Dlaczego nie chciała pani nawet dać mi szansy?

- Nic mi o tobie nie mówił, Cassidy. On... Kent kłamał, że rozmawiał ze mną na twój temat.

- Nie wierzę pani. Dlaczego miałby tak zrobić?! Jenna powoli wstała.

- To był cały Kent - powiedziała bardzo cicho. - Przykro mi, Cassidy. Miałam nadzieję, że nasze spotkanie będzie wyglądać inaczej. Może następnym razem.

Cassidy wstała i patrzyła, jak Jenna zbiera naczynia. *Nie licz na to - pomyślała gorzko. - Musiało mi się wydawać, że złagodniała. Nie ma żadnych wątpliwości, że to arystokratka.*

Jechała wolno wzdłuż ulicy Charlotte, w gruncie rzeczy nie dbając, czy zauważy drużynę dekarzy, niezdecydowana, czy - jeśli zobaczy Reida - w ogóle się zatrzyma. Ale kiedy dostrzegła zaniedbany, piętrowy dom, serce podeszło jej do gardła i zanim uświadomiła sobie, co robi, zaparkowała po drugiej stronie ulicy, wysiadła i doszła aż do stóp drabiny, zadzierając głowę. Reid siedział na samym szczycie, rozebrany do pasa, nic nie robiąc - najwyraźniej czekał na dostawę materiałów.

- Czy odnalazłaś mnie tu, byśmy poszli razem na obiad? - zawołał do niej.

- Nie całkiem.

- Szkoda.

- A co ty tam w ogóle robisz na górze?

- Opalam się.

- Raczej hodujesz raka skóry. Włóż koszulę!

- Włożę, jeśli mi ją tu przyniesiesz.

Spojrzała w górę i przeszedł ją dreszcz. Młoda kobieta, która przygotowywała jedzenie na stole ustawionym koło werandy, powiedziała:

- Nie dziwię się pani. Mój mąż też jest tam na dachu razem z pani mężem i uczy się, jak to robić. Ja już zmusiłam się, żeby nie patrzeć.

Cassidy uznała, że powinna sprostować.

- On nie jest moim mężem. Ale kiedy widzę go tam na szczycie...

Ktoś przyniósł Reidowi zapas gontów i znów zabrzmiał rytmiczny odgłos uderzeń młotka.

- Czy to pani dom? - spytała Cassidy.

Młoda kobieta kiwnęła głową i dalej krajała zimne mięso. Potem postawiła wielką salaterkę sałatki ziemniaczanej. Mała dziewczynka wyglądała zza spódnicy matki, trzymając w buzi kciuk.

- Mogę przynajmniej pani w czymś pomóc? - spytała praktyczna Cassidy, sięgając po szynkę. - Ma pani rację - kręci mi się w głowie od samego patrzenia.

Gdy mężczyźni ukończyli pokrywanie pierwszej połaci dachu, Cassidy była już serdecznie zaprzyjaźniona z młodą kobietą, ale dziewczynka wciąż zachowywała się nieśmiało. Kiedy więc puściła się nagle pędem przez trawnik, Cassidy podniosła z zaskoczeniem głowę: to Reid zszedł z drabiny i właśnie chwycił dziecko w ramiona. Młoda kobieta pordała jej talerz z jedzeniem.

- Angela, muszę tylko przez chwilę porozmawiać z Reidem. Nie wprosiłam się tu na obiad! - zaprotestowała Cassidy.

- Oj, chyba jednak powinnaś się wzmocnić - wzruszyła ramionami Angela.

Coś w tonie jej głosu spowodowało, że Cassidy odwróciła się i zobaczyła, jak Reid wspina się z powrotem na dach, tym razem podtrzymując przed sobą na drabinie dziewczynkę.

- Pozwalasz mu zabrać dziecko na górę?! - wykrzyknęła zaszokowana.

- Widzę, że dałaś się nabrać na niewinną minkę mojej małej. Rano ściągali ją z tej drabiny kilkakrotnie, aż w końcu Reid obiecał, że jeśli będzie grzeczna, weźmie ją na górę w czasie przerwy obiadowej.

- To nieśmiałe dziecko? Masz rację - powiedziała Cassidy słabym głosem.
- Wzmocnić się...

Ale odważna dwójka znalazła się znowu bezpiecznie na ziemi. Reid nałożył sobie na talerz jedzenie i podążył w kierunku dębu, pod którym zamyślona Cassidy sączyła colę z puszki. Usiadł koło niej, opierając się o pień drzewa. Zdażył już włożyć koszulę, choć jej nie zapiął, a jego ciało wydawało się promieniować ciepłem. Był zbyt głodny, a Cassidy zbyt zamyślona, by mieli ochotę rozmawiać.

Cassidy myślała o jego matce. Jenna powiedziała, że Kent kłamał, bo "to był cały Kent". Zachowywała się, jakby to przygnanie jego wad było dla niej niezwykle bolesne.

Obok Reida pojawiła się dziewczynka, trzymając w dłoni kawałek tortu kokosowego. Klapnęła na ziemię.

- Ten tort jest wspaniały - powiedziała z pełnymi ustami. - Czy po południu weźmiesz mnie znowu na górę?

Reid spojrzał na ciasto.

- Tak, jeśli pójdziesz i przyniesiesz kawałek także dla mnie.

Dziecko posłusznie podreptało w stronę stołu.

- To było przekupstwo - zaśmiała się Cassidy.

- Nic na to nie mogę poradzić - Reid wzruszył ramionami. - Czy wszystkie kobiety od urodzenia są tak bezwzględne w negocjacjach? Ona ma tylko pięć lat, jeszcze nie mogła się tego nauczyć w szkole.

- Twoje szczęście, że związkami zawodowymi kierują mężczyźni. Nawiasem mówiąc, sądziłam, że tym właśnie się dziś zajmujesz - powiedziała lekkim tonem.

- Jestem rozczarowany. Myślałem, że to tęsknota za mną przygnała cię tutaj, a nie interesy. - Zjadł swój kawałek tortu i wyciągnął się na trawie na kilkuminutowy odpoczynek.

Milczenie nie przeszkadzało Cassidy. Objęła ramionami podciągnięte do góry kolana i oparła na nich głowę. Siedziała spokojnie, zbyt pogrążona we własnych myślach, by zwracać uwagę na gadaninę reszty ochotników z drużyny Reida.

To był cały Kent...

Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie Kenta, przybijającego gonty na szczycie dachu w ciepły wiosenny dzień, by pomóc rodzinie, którą spotkało nieszczęście bezrobocia. Kenta wprowadzającego uważnie dziecko po drabinie, by zaspokoić jego ciekawość. Kenta...

Kent nigdy by się ze mną nie ożenił - pomyślała. - Bawiła go zabawa w dom, odpowiadała mu wygoda takiego układu, ale nie chciał żadnej odpowiedzialności. Gdybym miała okazję powiedzieć mu o dziecku, uznałby, że to mój problem. Jenna powiedziała prawdę. Kent nigdy jej o mnie nie mówił. Jej sprzeciw wobec naszego związku był tylko wymówką, wygodną bajeczką, którą wymyślił, bym nie nalegała.

Nie było to nagłe, zaskakujące odkrycie, lecz smutne przyznanie faktu. Zdała sobie sprawę, że w głębi duszy wiedziała o tym już od dawna. Była to jednak wiedza zbyt bolesna, by mogła się do niej przyznać i stawić jej czoło.

Siedziała tak, pogrążona we własnych myślach, przez długi czas. Gdy mężczyźni wrócili do pracy, Cassidy poszła pomóc Angeli w sprzątaniu, a następnie flancowała z nią sadzonki pomidorów w małym ogródku warzywnym na tyłach domu. Parę godzin później naprawa dachu została zakończona. Tym razem udało jej się nawet śmiać i machać ręką, gdy Reid i mała córeczka Angeli wołali do nich ze szczytu drabiny.

Potem Reid dołączył do Cassidy w ogródku i przyglądał się, jak sadi pozostałe jeszcze krzaczki pomidorów.

- Mam nadzieję, że czekałaś, by mnie odwiedzić do domu, Cassidy - powiedział. - Pozostali odjechali beze mnie.

Wzruszyła ramionami i poszła umyć ręce. Gdy ruszała, spojrzała jeszcze w lusterko wsteczne - Angela, jej mąż i córeczka stali na brzegu chodnika, z dumą przyglądając się nowemu dachowi.

- Jesteś bardzo milcząca - powiedział Reid. - Czy coś się stało i nie chciałaś mi o tym mówić w tym tłumie ludzi?

- Nie, tylko... - Nie chciała patrzeć na niego, ale jej wzrok i tak powędrował w jego stronę. - Żał mi ich. Angela opowiadała mi, że początkowo dobrze im szło, ale już od miesiący jej mąż nie może znaleźć pracy i ledwo mogą sobie jeszcze pozwolić na utrzymanie domu. - Reid nie odpowiadał, więc mówiła dalej: - Powiedziała mi, że gdyby nie ta twoja drużyna, już by się poddali. Kiedy twoja matka nazwała to męskim klubem...

- Ach, więc tak mnie znalazłaś.

- ...wyobraziłam sobie grupę facetów z dziewczętami wyskakującymi z tortów i tak dalej.

Reid zachichotał.

- A potem odkryłam, że chodzi o dobre uczynki. - Przełknęła z trudem. - Dlatego to robisz, prawda? Chodzi mi o ten nowy projekt, domy dla takich ludzi jak Angela i jej mąż. Żeby nie tylko w nich mieszkali, ale i pomagali budować.

- Chętnie bym go zatrudnił - przytaknął Reid. - Ale on jest niewykwalifikowany.

- Ale tak to chcesz robić, prawda? Zatrudniać ludzi, szkolić ich i awansować, gdy tylko wystarczająco dużo umieją...

- Dlaczego mówisz to takim oskarżycielskim tonem? - zapytał żałośnie. - Wejdiesz się czegoś napić?

Zaskoczyło ją, że stała już przed "Chatką". W ogóle nie zastanawiała się, gdzie powinna skręcić, a jednak dojechała we właściwe miejsce. Przez chwilę patrzyła wprost przed siebie.

- Tak - odezwała się w końcu. - Muszę przeprosić twoją matkę.

Reid uniósł brwi.

- Za męski klub?

- Nie. Za coś innego.

- No cóż, bardzo mi przykro, ale nie ma jej. Razem z panią Miller wyjechała do mojego letniego domku, by go przygotować przed sezonem.

- Letniego domku? Nie miałeś...

- Kupiłem go dwa lata temu. Matka z trudem znosi tutejsze upały, więc kupiłem dom nad jeziorem Table Rock. Spędza tam większą część lata. Czy w dalszym ciągu chcesz się napić, czy mamy się jeszcze trochę posmażyć w samochodzie?

W "Chatce" było chłodno i spokojnie. Reid westchnął z ulgą, najwyraźniej nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- Chyba tęsknisz za prysznicem - powiedziała Cassidy.

Przez moment zawahał się.

- Poczekasz na mnie? Możesz nie wracać do akademika przez całe popołudnie i nawet mieć czas na wypicie czegoś?

Jej pierwszym odruchem było cisnąć w niego butem, ale w końcu odpowiedziała z całą powagą.

- Moja zastępczyni jest równocześnie kucharką, więc dzisiaj i tak cały dzień jest zajęta w kuchni. Za to ja biorę nocną zmianę.

- Racja. Przyjęcie - powiedział wychodząc z holu.

- Wolę tańczyć, niż robić setki zakąsek - zawołała za nim.

Lodówkę wypełniały owoce, a obok stała maszynka do wyciskania soku, Cassidy przygotowała więc dwie wysokie szklanki soku pomarańczowego z lodem. Właśnie wciskała do nich po kilka kropli soku cytrynowego, gdy Reid wrócił z łazienki, sięgnął ponad jej ramieniem po szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

- Pyszne - powiedział.

- Skąd wiesz? - spytała wrogo. - To jest sok pomarańczowy dla smakoszy. Należy go wolno sączyć i delektować się. - Wzięła do ręki szklankę. - O, właśnie tak.

Posłusznie przyglądał się, jak pije. Działo jej to na nerwy. Gdy kawałek pomarańczy przywarł do kącika jej ust, próbowała go dyskretnie zlizać. Przez moment Reid wpatrywał się w nią intensywnie, a potem wyjął jej szklankę z ręki i odstawił.

- No dobrze. Dość już sączyłaś. Teraz ja będę się delektował. - Jego ramiona objęły ją szybko i mocno.

- Nie o to mi...

Najwyraźniej jej nie słuchał. Z ogromną czułością scalał pozostałości soku pomarańczowego, delikatnie pieszcząc wargami kącik jej ust.

Cóż to za głupoty sobie wmawiałam? - myślała. - Że moja fizyczna reakcja na jego pocałunki była tylko automatyczną odpowiedzią? Zupełne głupoty, bo to, co teraz czuję, na pewno nie jest automatyczne. Jest bardzo, bardzo osobiste.

Wpasowała się w jego objęcia, podnosząc głowę i ramiona, głaszcząc wciąż wilgotne od prysznica włosy. Ich usta spotkały się i przywarły do siebie na długą chwilę.

- Mówiłaś coś, Cassidy? - wyszeptał.

- Nie, nic.

Uśmiechnął się lekko i przyciągnął ją jeszcze bliżej, obejmując w talii. Nie musiał tak mocno trzymać, bo i tak nic nie byłoby w stanie jej od niego oderwać. Chwilę później wsunął dłoń pod jej bluzę i rozpiął stanik.

Złapała gwałtownie oddech i zeszywniała w jego ramionach.

- Coś nie tak? - szepnął, z ustami wciąż tuż przy jej wargach.

- Sytuacja wymyka się spod kontroli - powiedziała niepewnie.

- Wcale nie. - Oddychał nierówno, pieszcząc równocześnie jej delikatną skórę. - Cały czas ją kontroluję.

Cassidy zadrżała, a fala rozkoszy dotarła do wszystkich komórek jej ciała.

- Kilka dni temu... Powiedziałeś, że nie chcesz mnie wykorzystywać...

- Chciałem się wtedy z tobą kochać, Cassidy. Ale byłaś rozstrojona i nie panowałaś nad sobą, a poza tym trzydzieści dwie dziewczyny mogły w dowolnym momencie zacząć dobijać się do drzwi. A teraz jesteśmy tu tylko we dwoje i na pewno wiemy dobrze, co robimy. Nie jestem święty i postanowiłem wówczas, że jeśli kiedykolwiek jeszcze twoje ciało da mi ten rodzaj zaproszenia, a ty nie będziesz zdenerwowana ani zagubiona na tyle, by nie rozróżniać pocieszenia od pragnienia, to nie odejdę. Teraz wydaje mi się, że znów otrzymuję takie zaproszenie. Powiedz mi więc, Cassidy, czy cię wykorzystuję, czy robię dokładnie to, czego pragniesz?

Znów przykrył ustami jej wargi, tym razem bardziej namiętnie. Nie była już w stanie opierać się pożądaniu, które jego pieszczoty w niej obudziły.

Nie potrzebował innej odpowiedzi, zresztą Cassidy nie potrafiłaby mu innej dać. Przeprowadził ją przez hol do jedyne go pokoju, w którym nigdy przedtem nie była.

On to wszystko zaplanował - pomyślała niejasno, bo łóżko było już rozesłane na noc. A może to pani Miller, zanim wyjechała? Dla Cassidy robiła to co wieczór, ale...

Reid znów ją pocałował i wszystkie inne myśli wyleciały Cassidy z głowy.

Był cierpliwym kochankiem. - To niezwykle - pomyślała, bo czuła jego napięcie, czuła, jak powstrzymuje własne pożądanie, pragnąc najpierw rozpa lić jej zmysły. Instynktownie wiedział, jak ją pieścić, by pobudzić rozkosz, która i tak nie dawała się porównać z chwilą, gdy w końcu stopili się w jedno. Dzielili ze sobą cudowną radość, aż Cassidy wykrzyknęła jego imię, a świat zaczął nieprzytomnie wirować.

Długo trwało, zanim odzyskała zdolność ruchu. W końcu była znów w stanie gładzić go po włosach i skórze, a jej zmysły wróciły do normalnego stanu.

Nie, wcale nie normalnego - pomyślała, zastanawiając się beztr osko, czy kiedykolwiek jeszcze będzie się czuła normalnie. Jak mogła uwierzyć, że już nigdy nie będzie chciała dzielić życia z mężczyzną?

Ale nie z dowolnym mężczyzną - szepnął głos jej sumienia. - Zdecydowanie nie z dowolnym mężczyzną.

Zaskakujący był ten nagły błysk zrozumienia. Nie znalazła nikogo innego, z kim chciałaby dzielić życie, ponieważ żaden mężczyzna nie dorastał do jej oczekiwań. Reid miał rację. Ale przyczyną nie była jej lojalność wobec Kenta, to nie Kent stanowił dla niej niedościgły wzorzec. Nawet wtedy - cztery lata temu - chodziło o Reida.

Zakochała się w Reidzie i świadomość, że nikt nie jest w stanie zająć jego miejsca, powstrzymywała ją nawet przed szukaniem innego partnera.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta świadomość, jak brakujący kawałek układanki z łatwością znalazła sobie miejsce w sercu Cassidy. Wyjaśniała, dlaczego tak bała się znowu spotkać Reida i dlaczego stawała się niespokojna i niezadowolona, gdy nie widziała go przez parę dni. Wyjaśniała wszystkie frustracje, gniew i strach, a także spokój, który opanowywał ją w jego obecności. A przede wszystkim wyjaśniała, dlaczego cztery lata temu, po poronieniu, nie chciała zostać i spotkać się z nim. Wszystkie powody jej zachowania były uczciwe, ale pod nimi był jeszcze jeden, ukryty tak głęboko, że nawet nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia.

Kryłam się przed nim ze strachu - pomyślała. - Nie bałam się, że będzie się gniewał o moje odejście, tylko że nic go to nie będzie obchodzić. Bałam się, że nie będzie mnie przekonywał, bym przyjęła pieniądze, że będzie mu wszystko jedno, co się ze mną stanie. Ukryłam się więc, bo nie chciałam, by mi kazał sobie pójść, bo chciałam ludzić się, że mnie szuka, że chce, bym wróciła, że jednak coś dla niego znaczę...

A co teraz? Kilka minut temu kochał ją, jakby od lat jej pragnął, ale czy ma to jakieś znaczenie? Na pewno oznacza mniej lub bardziej trwały związek...

Nie zadawaj zbyt wielu pytań - pomyślała. - Korzystaj z radości tej chwili i nie spodziewaj się niczego więcej.

Ucałował delikatne zagłębienie u nasady jej szyi, uśmiechnął się i uwolnił z jej ramion.

Już po wszystkim - pomyślała. Usiadła i objęła kolana, nie patrząc na niego, choć czuła, że się jej przygląda.

- Przyjęcie - powiedziała nagle. - Muszę wracać.

- Obawiałem się, że sobie przypomnisz - powiedział spokojnie, rzeczowo, jakby go to wcale nie obchodziło. Podciągnął do góry poduszkę i siadł, opierając się o zagłówek łóżka. Przeciągnął lekko czubkiem palca wzdłuż jej kręgosłupa, aż zadrżała. - Nie musisz jeszcze iść. Masz trochę czasu.

Niemal nie spytała, czy może przyjdzie na przyjęcie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Najwyraźniej nie zapomniał o balu. Może to też była część jego planu? W ten sposób mógł być pewien, że nie zostanie u niego zbyt długo. Była sobota wieczór - ostatecznie mógł być z kimś umówiony. Jeśli rzeczywiście chciał się żenić, to zapewne ma spotkanie...

Aż do tej chwili usuwała z pamięci uwagę Jenny na temat dwóch kobiet pod jednym dachem. Nie chciała pamiętać jej słów, nie chciała myśleć o innej kobiecie w jego życiu. Teraz jednak pamięć powróciła, przynosząc cierpienie i wypierając wszystkie inne myśli.

- Muszę już iść - powiedziała przez ściśnięte gardło.

Nie ruszył się i nie protestował, kiedy wyciągała swoje rzeczy z bezładnego stosu na podłodze, ale gdy już się ubrała, zatrzymał ją przy drzwiach sypialni.

Całował ją długo i jakby z tęsknotą, jakby miał to być ostatni raz. Oparła się o drzwi i spojrzała na niego. *Nawet jeśli to koniec* - przemknęło jej przez głowę - *ani przez chwilę nie żałuję tego, co nas połączyło.* - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, szepcząc: - Dziękuję, Reid. - A potem wymknęła się z pokoju i wskoczyła do samochodu, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Znowu to robisz - napominała się w myślach, jadąc do akademika. - *Uciekasz, byś mogła sobie potem powiedzieć, że gdyby tylko zdążył, powiedziałby ci mnóstwo cudownych rzeczy. Głupia jesteś, Cassidy Adams. Nie wolno ci pozwolić, żeby stał się kimś ważnym w twoim życiu - bez względu na to, czy ma zamiar się powtórnie ożenić, czy nie.*

"Powtórnie ożenić" to nie jest właściwe wyrażenie - pomyślała. - *W gruncie rzeczy nie byliśmy prawdziwym małżeństwem... i bardzo tego żałuję.*

W akademiku panowało niezwykłe zamieszanie. Na górze komitet dekoracyjny wciąż usiłował coś poprawiać w scenografii, a na pierwszym piętrze dwadzieścia pięć dziewcząt na raz próbowało wcisnąć się do łazienek. Cassidy wetknęła głowę do kuchni, gdzie każdą poziomą powierzchnię zajmowały tace z jedzeniem, a kucharka wyglądała jak chmura gradowa. Cassidy nie odważyła się zapytać, jak leci - bała się, że jedna z tac może poszybować nagle w jej kierunku.

Sprawdziła wygląd jadalni, gdzie przygotowano już wszystkie naczynia i sztućce, rzuciła okiem na zaangażowane na ten wieczór kelnerki, upewniła się, że co cenniejsze lampy i wazony zostały schowane i w końcu udała się do siebie, by też się przygotować.

Jej pokój wydawał się oazą spokoju. Cassidy wzięła szybki prysznic, narzekając, że dwadzieścia pięć równocześnie myjących się dziewcząt musiało wyczerpać zapas ciepłej wody. Trzęsąc się wciąż po zimnym prysznicu ubrała się i energicznie wyszcotkowała włosy. *Za chwilę będzie mi gorąco - pocieszyła się. - Około setki ludzi w sali balowej bez klimatyzacji, w wyjątkowo ciepły majowy wieczór, załatwi sprawę. Pewnie wkrótce będę się cieszyć, że moja suknia jest wydekoltowana i bez rękawów.*

Była spóźniona. Gdy weszła na drugie piętro, sala była już pełna ludzi, a orkiestra rozgrzewała się.

A może to tylko suknie dziewcząt tak wypełniały salę - jedna z nich nosiła krynolinę, inna miała z tyłu ogromną kokardę.

W porównaniu z nimi suknia Cassidy była aż zbyt prosta. Z miękkiego, lejącego się materiału koloru kości słoniowej, spływała jej do stóp w delikatnych fałdach, przypominając nieco grecką togę. Jediną ozdobą był złoty łańcuszek, otaczający wysoki stan, zapinany tuż pod biustem. *- Ostatecznie jako przyzwoitka mam zostać w tle, a nie robić za gwiazdę - powiedziała sobie.*

Zespół muzyczny zaczął grać i pierwsze pary pojawiły się na parkiecie. Heather, która mimo zmęczenia dekorowaniem wyglądała prześlicznie, mrugnęła do Cassidy nad ramieniem partnera:

- Nie przejmuj się nami, mamuśka. Same się możemy dopilnować. - Kiwnęła głową w drugi koniec sali i uśmiechnęła się. - Baw się dobrze.

Zdziwiona Cassidy zmarszczyła czoło. Potem tłum na parkiecie rozsunął się na chwilę i w niewyraźnym świetle zauważyła przepychającego się wśród tancerzy wysokiego mężczyznę w nienagannie skrojonym czarnym garniturze.

Serce podeszło jej do gardła.

- Patrzysz na mnie tak, jakbym włożył krawat do góry nogami - powiedział Reid cicho.

Potrząsnęła głową.

- W takim razie czy mogę cię prosić?

Nie zdawała sobie sprawy, że westchnęła cicho, gdy zaczęli poruszać się w rytm muzyki. Reid spojrział na nią z uśmiechem i przygarnął ją mocniej.

Nigdy dotąd z nim nie tańczyła. *- Gdybym tańczyła - pomyślała - wiedziałabym, że jest także cudownym kochankiem.* - Trzymał ją mocno, ale nie

ograniczając ruchów. Był mężczyzną pewnym siebie i swobodnie zachowującym się w każdych okolicznościach.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na tej sali - szepnął jej do ucha.

- Chyba chodzi ci o to, że jestem tu jedyną kobietą.

- A reszta to tylko dziewczynki? - spytał rozbawiony.

Zespół grał teraz powolną piosenkę o miłości. Cassidy zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Reida. Nie wiedziała, jak długo tańczyli. Zdawała sobie sprawę, że tempo często się zmieniało, grano jedną melodię za drugą, a ona mogła tak kołysać się w jego ramionach bez końca. Gdy Reid odezwał się i przerwał czarowny nastrój, niemal miała mu to za złe.

- Nie wierzę, by jakikolwiek inspektor budowlany wydał zezwolenie na taki tłum - powiedział.

- Wczoraj był tu inspektor przeciwpożarowy. Właśnie dlatego dzisiejsza zabawa nie odbywa się przy świecach. Dziewczęta były wściekłe. - Cassidy niechętnie powróciła do rzeczywistości. Sala balowa wydawała się wypełniona do granic możliwości. Miała wgląd w listę gości, ale chyba nie było na niej aż tylu osób!

Reid nie wyglądał na zadowolonego, ale nie podtrzymywał tematu. Tempo muzyki znów się zmieniło. Tańczący wirowali w szaleńczym rytmie, klaszcząc do wtóru.

- To już nie dla mnie - powiedział Reid. - Co byś powiedziała na łyk świeżego powietrza?

- Tak, duszno tu. Poza tym na dole jest jedzenie. Nie jadłam kolacji...

Reid zachichotał, a Cassidy zarumieniła się i ruszyła przez tłum w stronę wyjścia.

Dogonił ją na dole i wciągnął w ciemny kącik pod schodami.

- Właściwie nie chodziło mi o świeże powietrze - mruknął - ale o ciche, ustronne miejsce, gdzie mógłbym...

Muzyka i głośno wybijany rytm przypomniały Cassidy o jej obowiązkach.

- Jestem przyzwoitką - zażartowała. - Nie mogę całować się gdzieś ukradkiem.

- Muszę więc zadowolić się jedzeniem - westchnął Reid. - W każdym razie tutaj jest chłodniej.

Stół w jadalni prezentował się wspaniale. Cassidy wzięła pasztecik z najbliższej tacy.

- Uwielbiam paszteciki - powiedziała. Wsadziła cały do ust. - Czy wydaje mi się, czy naprawdę powietrze jest tu jakieś dziwne?

- Powinna pani zobaczyć, jak jest w kuchni - Powiedziała jedna z kelnerek.

Cassidy piekły oczy. Potarła je bezmyślnie, ale nagle wyprostowała się z przerażeniem.

- To dym! - szepnęła. - Och, Reid, a na górze te wszystkie dzieciaki...

Reid wpatrywał się w sufit.

- To nie dym. To pył. - Wskazał na rzeźbioną belkę. - Te wszystkie dzieciaki skaczą jak opętane, więc; tynk zaczyna się kruszyć.

- Przez chwilę myślałam... - Cassidy odetchnęła z ulgą.

- W tak starym domu, w dodatku zbudowanym z pruskiego muru, to nie jest w porządku - powiedział Reid, na wpół do siebie. Zwrócił się do kelnerki:

- Mówi pani, że w kuchni jest gorzej?

Kelnerka potwierdziła.

Dobiegającą z góry muzykę zagłuszył dźwięk przypominający galop stada bizonów.

- Tupią - wyjaśniła Reidowi Cassidy. - W ten sposób okazują zespołowi muzycznemu swoje uznanie.

- W moich czasach wystarczało klaskanie - mruknął Reid.

Cassidy pchnęła prowadzące do kuchni wahadłowe drzwi. Reid złapał ją za przegub i gwałtownie szarpnął do tyłu, gdy ogromny kawał tynku z sufitu oderwał się i rozprysnął na miliony cząstek, pokrywając całą kuchnię warstwą pyłu. Z dziury w suficie sypał się kurz. Reid odsunął Cassidy i wpadł do środka. W chwilę później kurz opadł nieco i Cassidy zobaczyła, że Reid mocuje się z tylnymi drzwiami. Kelnerki wydostały się do holu.

- Ja się stąd wynoszę - powiedziała jedna z nich piskliwym ze zdenerwowania głosem. - Mam dość.

Reid usiłował otworzyć kuchenne okno. Zamek zaciął się, klamka została mu w ręku. Wpatrywał się w nią przez chwilę ze stężalym wyrazem twarzy. Potem wyciągnął z kieszeni scyzoryk i wbił go w drewnianą framugę. Drewno rozsypało się na drzazgi.

- Gdzie są drzwi do piwnicy? - spytał krótko.

- Tam - Cassidy wskazała w kąt kuchni. - Reid, co...

- Wygląda na to, że cała drewniana konstrukcja domu jest całkowicie przeżarta przez termity - rzucił przez ramię. - Wyprowadź wszystkich na zewnątrz. Natychmiast.

- Jak mam to zrobić?!

- Wszystko jedno jak, Cassidy. Ale zrób to, zanim znowu zaczną tupać, bo inaczej wszystko zawali się jak domek z kart, a na pierwszej stronie "Alternative" będzie nie twój artykuł, ale artykuł o tobie!

Na trawniku siedziała grupka bardzo nieszczęśliwych dziewcząt. Ich eleganckie sukienki były przesiąknięte rosą, a gołe ramiona i plecy pokryte gęsią skórką. Tuliły się pod kocami wypożyczonymi z sąsiedniego akademika.

Goście dawno sobie poszli, a większość mieszkanek akademika Alpha Chi rozlokowano w sąsiednich domach. Zostały tylko członkinie samorządu, które wpatrywały się z niedowierzaniem w wielki, stary dom, rysujący się w świetle księżyca potężną i pozornie solidną bryłą.

Trudno było uwierzyć, że nie jest solidny. Ale inspektor budowlany, którego Reid wyciągnął z łóżka, by sprawdził bezpieczeństwo konstrukcji,

powiedział im właśnie, że w domu nie będzie można na razie mieszkać, bo wymaga generalnego remontu.

- Nie rozumiem - powiedziała w końcu Heather. - Jak taki mały owad może zezreć cały dom?

Reid poruszył się na zimnej, betonowej ławce, którą dzielił z Cassidy.

- Przede wszystkim nikt nie wie, kiedy ostatni raz sprawdzano drewno pod kątem termitów. Niewykluczone, że od ponad roku zżerały belki nośne w piwnicy. A jeśli chodzi ci o to, dlaczego akurat dzisiaj - no cóż, wepchnęłyście do sali balowej dwa razy więcej ludzi, niż ta sala powinna mieścić.

Heather utkwiała wzrok w trawie u swoich stóp.

- A co z naszymi ubraniami, książkami i tak dalej? - spytała jedna z dziewcząt. - Czy mamy tam wszystko po prostu zostawić?

Inspektor pokręcił głową.

- Sądzę, że jeśli do środka wejdzie tylko po parę osób na raz i będą poruszać się spokojnie, to nie będzie niebezpieczeństwa. Dzisiejszy problem wynikał z przeciążenia. Konstrukcja jest uszkodzona, ale dzięki panu Cavanaugh nie powinna się zawalić.

Cassidy wstała.

- Najwyższy czas, żebyście poszły spać. Rano porozmawiamy i zdecydujemy, co robić. - Zaprowadziła je do sąsiedniego domu, gdzie natychmiast zajęła się nimi starsza wiekiem opiekunka, w szlafroku i z twarzą błyszczącą od kremu.

- Nie mam gdzie cię położyć, Cassidy. - Była najwyraźniej zmartwiona. - Chyba że ulokujesz się z dziewczętami na podłodze...

- Ja się nią zajmę - przerwał Reid. - Dzięki za przyjęcie wszystkich dziewcząt. - Odciągnął Cassidy od drzwi.

- Reid, nie mam przy sobie ani karty kredytowej, ani pieniędzy - zaprotestowała.

- Nie będziesz potrzebować pieniędzy.

- I moje kluczyki od samochodu są w pokoju.

- Przywiozę cię tu rano.

- Naprawdę powinnam zostać z dziewczętami, Reid.

Ignorując protesty, zaprowadził ją do samochodu.

Jazda do Mission Hills minęła w milczeniu. Mniej więcej w połowie drogi Cassidy zaczęła dygotać. Nie mogła się opanować. Gdy dojechali na miejsce, była niemal w histerii.

- Bałem się, że to przyjdzie - powiedział Reid, nalewając jej kieliszek koniaku i siadając na poręczy fotela - Nie martw się o dziewczyny. Większość z nich nie zdaje sobie sprawy, w jakim była niebezpieczeństwie. Moim zmartwieniem jesteś ty i twoje nadmierne poczucie odpowiedzialności.

- Kiedy ja jestem odpowiedzialna. - Sączyła wolno koniak. - Byłam odpowiedzialna - poprawiła się i przerwała, sama nie rozumiejąc własnych słów.

Potarł oczy i Cassidy nagle zdała sobie sprawę, że musi być wykończony. Była niemal czwarta rano. Podczas gdy ona siedziała na trawniku, Reid do spółki z inspektorem dokładnie sprawdzał konstrukcję. W tej chwili jego włosy były zupełnie szare, a elegancki garnitur pokryty kurzem.

- Chodź - powiedział. - Czas do łóżka.

- Reid... - Zawahała się i spojrzała na niego niepewnie.

- Słuchaj no - powiedział z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Po tym, w jaki sposób spędziłem noc, gdybym chciał się teraz na ciebie rzucić to byłby cud.

Uśmiechnęła się słabo.

- Ja też nie czuję się zbyt erotycznie.

- Nie dziwię się. Więc zrób mi tę przyjemność i chodź do mojego pokoju trochę się przespać.

- Zrobić tobie przyjemność? - Uniosła brwi.

- Tak jest. Gdybyś miała jakieś koszmary, nie będę musiał wstawać, by powstrzymać cię przed wyskakiwaniem przez okno. - Ziewnął szeroko i ruszył przez hol w kierunku sypialni, nie oglądając się.

Kilka minut później Cassidy musiała przyznać, że gdy leżała wsłuchując się w jego spokojny oddech, czuła się bezpiecznie i spokojnie. Obróciła się na bok, przytuliła do ciepłego ciała Reida i zasnęła.

Nie miała sennych koszmarów. Obudziła się w pełnej słońca sypialni. W chwilę potem do pokoju wkroczył Reid, niosąc tacę ze śniadaniem. Stały na niej dwa kubki i koszyk z pieczywem. Zapach kawy spowodował, że Cassidy usiadła na łóżku.

- Czy to bułeczki pani Miller? - spytała z nadzieją w głosie.

Reid kiwnął głową.

- Zawsze czuję się winna, gdy zostawia mnie samego na łaskę losu. Nawiasem mówiąc, odpowiedziałś już na moje pierwsze pytanie. Najwyraźniej czujesz się dzisiaj znacznie lepiej. - Postawił tacę na łóżku. - I bardzo ładnie wyglądasz.

Cassidy zdała sobie nagle sprawę, że wieczorem byli zbyt zmęczeni, by myśleć o znalezieniu dla niej nocnej koszuli. Podciągnęła energicznie koc.

Reid roześmiał się tylko i usiadł na brzegu łóżka. Też nie był jeszcze ubrany. Szlafrok rozchyłał się na jego nagim torsie.

Cassidy wetknęła koc mocno pod pachy i sięgnęła po bułeczkę w tym samym momencie co Reid. Zapominając o śniadaniu, złapał ją za rękę i przytrzymał, wpatrując się w siny ślad, biegnący wokół przegubu. Spowaźniał i dotknął go lekko palcem.

- Przepraszam za to.

- Na litość boską, Reid, nie wygłupiaj się. Uchroniłeś mnie od sporego guza.

- A potem wysłałem na górę, co mogło być jeszcze gorsze - powiedział cicho. - Ale nie mogłem postąpić inaczej, Cassidy. Ktoś musiał wyprowadzić dzieciaki z sali balowej.

Poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

- Podczas gdy ty poszedłeś do piwnicy - powiedziała. - I cały dom mógł wylądować na twojej głowie, gdyby... - Nie mogła dokończyć zdania ani nawet myśleć o tej możliwości. Te okropnie ciągnące się minuty, gdy praktycznie spychała balowiczów ze schodów, a dom wydawał się trzeszczeć i drzeć pod jej stopami... A potem cała wieczność, gdy już wszyscy poza Reidem wyszli...

Wpatrywali się w siebie przez chwilę, która wydawała się nieskończonością. Potem Reid ostrożnie odstawił tacę na podłogę i wyciągnął do niej ramiona. Jego pocałunki paliły żywym ogniem. Była szczęśliwa, że znów znalazła się w jego objęciach.

Szarpnął koc i pochylił głowę, by dosięgnąć ustami jej piersi. Cassidy chwyciła szlafrok, usiłując ściągnąć go Reidowi z ramion, by już nic ich nie dzieliło.

Całował ją i pieścił, a jej ciało prężyło się zapraszająco. Reid wstrzymywał się jeszcze, pragnąc dać jej jak najwięcej rozkoszy, a Cassidy przyciągała go do siebie. W tej bitwie oczywiście wygrała, ale nie miało to już znaczenia - świadoma była jedynie nieziemskiej ekstazy należenia do niego. Wiedziała, że przynajmniej w ten sposób był jej.

Nie miała już żadnych wątpliwości, że go kocha. I nie tylko fizycznie, choć połączenie ich ciał niosło tak niebiańską rozkosz. Chciała go uwielbiać, cieszyć się nim, dzielić wspólnie wszystkie radości i smutki, jakie niesie życie.

A jeśli on tego nie zechce - co wtedy? Jeśli chodzi mu tylko o miłość w sensie fizycznym? Jeśli dla niego to tylko chwilowe uniesienie?

I tak nie miała wyboru. Oderwanie się od niego teraz, pozbycie się wspomnień, byłby równoznaczne z samobójstwem. Kochała go umysłem, sercem i ciałem - i tak będzie zawsze, bez względu na to, co się z nimi stanie.

Kawa wystygła zupełnie, więc w jakiś czas później Reid wstał i zrobił świeżą. Wypili ją i zjedli bułeczki w jadalni.

- Tak będzie bezpieczniej - powiedział Reid. - Ostatecznie musisz w końcu pojechać do akademika.

Zarumieniła się, odczytując w jego słowach sugestię, że gdyby to od niej zależało, w ogóle nie wstałaby z łóżka.

- Zrezygnuję z tej pracy - powiedziała.

Reid przestał gryźć bułeczkę i wpatrzył się w nią, jakby nagle zamieniła się węża w rajskim ogrodzie.

Do diabła - pomyślała. - Teraz on uważa, że chcę tu zostać, że tę jedną noc odczytałam jako zaproszenie na zawsze.

- Oczywiście, teraz muszę im pomóc przetrwać - dodała szybko. - Ale jak tylko będę mogła, zrezygnuję, chyba nie uda mi się dłużej żyć w takim stresie. Ta praca jest trudniejsza, niż myślałam... Będę musiała przeanalizować moje zarobki. Oczywiście, dalej będę cię spłacać, ale potrwa to dłużej, więc...

- Psiakrew, Cassidy!

- Obiecałeś - powiedziała drżącym głosem. Ścisnęła kubek tak mocno, że o mało nie pękł. Spojrzała na niego wypełnionymi łzami oczyma. - Obiecałeś nie mówić o pieniądzach.

Mruknął pod nosem przekleństwo na temat obietnic.

Potem odsunął krzesło i zaczął zbierać ze stołu brudne naczynia.

- Moja matka mieszka w gościnnym pokoju - powiedział nie patrząc na nią. - Chyba znajdziesz tam coś, co mogłabyś na siebie włożyć.

Szczęśliwa, że nie podtrzymał tematu, pobiegła do gościnnego pokoju. To tutaj wymyślili Czekoladkę, tutaj Reid po raz pierwszy ją pocałował... Ale nie było sensu o tym myśleć.

Zanim wybrała sukienkę, Reid zdążył się ubrać. Znalazła go w dużym pokoju, czytającego niedzielną prasę. Spojrzała na nią bez komentarza.

- To najnowszy styl - powiedziała Cassidy wystudiowanie lekkim tonem, okręcając się. - Sprawia, że nogi znów staną się modne. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem o tyle wyższa od twojej matki.

- Jesteś gotowa?

- Prawie. Muszę tylko zapakować moją wczorajszą suknię...

- Zostaw ją - przerwał. - Będiesz i tak miała dzisiaj dość roboty.

Nie sprzeciwiała się. Najwyraźniej chciał się jej pozbyć, więc nie miała zamiaru przeciągać tej sceny.

W pobliżu akademika był duży ruch. Patrzyła przez okno, gdy jechali w górę ulicą, by zatrzymać się przed sąsiednim domem.

Reid patrzył przed siebie, więc pozwoliła sobie spojrzeć na niego z tęsknotą. - *Nie bądź głupia* - pomyślała. - *Przecież jeszcze go spotkasz.*

Ale denerwujący wewnętrzny głos powiedział: *To prawda, że jeszcze go spotkasz, ale już nigdy nie będzie tak samo...*

Cassidy przełknęła ślinę.

- Dzięki, Reid. - Jej głos był nieco zachrypnięty. - Za wszystko.

- Poczekam na ciebie.

- Nie musisz. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

- Powiedziałem, że poczekam, Cassidy.

Kierowca w samochodzie za nimi zatrąbił.

- Nie możesz parkować tutaj. Blokujesz drogę.

- Będę z tyłu domu. I tak chcę zobaczyć, co stwierdzili inspektorzy budowlani.

Wysiadła z samochodu bez słowa.

Gdy wróciła, Reid pogrążony był w rozmowie z jednym z robotników. Usiadła na ławce, czekając aż skończy.

- Mam twoje kluczyki od samochodu, torebkę i trochę ubrań.

- Wchodziłeś do środka? Reid...

- Jak sobie radzą twoje dziewczyny?

- Znakomicie. Zachowują się jak dorosłe i sprawnie wszystko organizują. Rozlokowują się po innych akademikach, a jeśli do jesieni dom nie będzie wyremontowany, coś sobie wynajmą.

- A w którym akademiku ty masz mieszkać?

- W żadnym. Nigdzie nie potrzebują opiekunki, więc bardzo elegancko odstawili mnie na boczny tor. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - *Co za głupota czuć się pokrzywdzoną - pomyślała - skoro i tak postanowiła zrezygnować!*

- Ale wdzięczność - mruknął. - Zostawiają cię na lodzie, gdy uratowałaś im życie.

- Nie bierz tego tak osobiście, Reid - powiedziała sucho. Ale było jej przykro. Czy wolałby, żeby nie zostawiono jej na lodzie? Próbowała zażartować: - Raczej nie stać mnie na kupno mieszkania od ciebie, ale może słyszałeś o czymś, co mogłabym wynająć?

- Zamieszkać u mnie - powiedział cicho.

Próbowała obrócić jego słowa w żart.

- Reid, nie musisz mnie przygarniać tylko dlatego, że jestem znowu bezdomną sierotką. Kiedyś muszę stanąć na własnych nogach, znaleźć sobie mieszkanie i jakoś żyć samodzielnie.

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń.

- W porządku. Ale nie zrobisz tego dzisiaj. A zanim ci się uda, zamieszkać u mnie. Przez jakiś czas.

Przez jakiś czas. W tych słowach było tyle gorzkich i słodkich znaczeń, że postanowiła o nich nie myśleć.

Ale czy miała jakiś wybór?

Nie chodziło jej o fizyczny dobrobyt. Miała trochę pieniędzy, a istniały mieszkania, hotele, pokoje do wynajęcia - nie zostanie bezdomna. Chodziło jej o równowagę psychiczną i uczuciową. Czy może pozwolić sobie na ryzyko mieszkania z nim - przez jakiś czas? Kochania go, cały czas wiedząc, że to się wkrótce skończy? Gdyby była jakaś nadzieja na trwały układ, nie sformułowałby zaproszenia w taki sposób. Czy zniesie później ból rozstania?

Ale czy odejście teraz nie będzie jeszcze gorsze? Wtedy nie zostanie jej nic, prócz zimnego stwierdzenia, że za wszelką cenę próbowała się chronić. A na to i tak było za późno. Podjęła decyzję poprzedniego wieczoru, gdy zburzyła wzniesioną starannie wokół siebie ścianę i pozwoliła mu się kochać. Za późno było na budowanie jej od nowa.

Wydawało się, że Reid śledził w jej oczach tę bitwę z samą sobą i dostrzegł, kiedy powzięła decyzję. Wziął ją za rękę i pomógł wstać.

- Chodź ze mną do domu - powiedział, obejmując jej ramiona.

- Na jakiś czas - szepnęła. Nic więcej nie była w stanie powiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez jakiś czas...

Za każdym razem, gdy te słowa pojawiały się w jej pamięci, Cassidy starała się myśleć o czymś innym, ale w miarę upływu dni coraz częściej prześladowały ją, jak refren starej piosenki.

Przez jakiś czas...

Jeśli chodzi o nią, spokojnie mogą mijać dni, miesiące i lata, aż osiągnie osiemdziesiątkę, a wciąż nie będzie miała ochoty odejść. Ale jaki czas Reid miał na myśli? Aż ich romans straci żar? Aż wróci jego matka? Czy też po prostu, aż Cassidy znajdzie sobie mieszkanie?

Te szczegóły nie mają znaczenia - myślała. Pewne jest tylko to, że koniec się zbliża. Ale gdy ten nieokreślony czas upłynie, a cierpliwość Reida się wyczerpie - co wtedy?

Muszę coś zrobić - mówiła sobie wielokrotnie w tym tygodniu. - *Nie mogę czekać, aż mi powie, że ma dość zabawy w dobrego Samarytanina. Powinnam przynajmniej zdecydować, gdzie pójdę i co będę robić. Powinnam poszukać mieszkania, pomyśleć o meblach, zastanowić się nad pieniędzmi...*

Dlatego też każdy dzień zaczynała od przejrzenia ogłoszeń na stronach "Alternative". Ale jakoś nigdy nie miała czasu, by wykonać następny krok - zadzwonić do właściciela, pójść i obejrzeć mieszkanie. Czasem myślała, że chociaż ubyłoby jej jedno zajęcie, dzień i tak nie miał dość godzin na wszystko.

Przynajmniej nie kłam sama przed sobą, Cassidy - napominała się w środowy poranek, wpatrując się w dwa obwiedzione przed chwilą kółkiem ogłoszenia. Objęła dłońmi kubek z kawą i wpatrzyła się w przestrzeń, usiłując przeanalizować własne myśli.

Skoro nie oglądam mieszkań - powiedziała sobie - nie mogę znaleźć żadnego, które by mi się podobało, nie przeprowadzam się i zostaję w "Chatce" z Reidem. A teraz wolalabym, żeby mnie wyrzucił, kiedy się mną zmęczy, niż z własnej woli wyrzec się nawet jednej spędzonej z nim minuty. Wolę udawać, niż spojrzeć prawdzie w oczy. Nie chcę pamiętać, że z jego strony to tylko uprzejmość...

W szarych godzinach poranka, gdy budziła się obok Reida, a on uśmiechał się do niej w sposób, od którego topniało jej serce, łatwo było zapomnieć o rzeczywistości. W świeżym powietrzu wieczorów, spędzanych spokojnie razem na werandzie, a także w codziennej bieganiu, gdy zapamiętywała rzeczy, o których później mu opowiadała, wydawało się niemożliwe, że ma być to tylko wygrany na loterii fragment jej życia.

Czasami jednak musiała spojrzeć prawdzie w oczy: ich rozmowy o przyszłości nigdy nie zawierały osobistej nuty.

Nie tylko to przywracało ją do rzeczywistości. Wciąż jeszcze chodziło o artykuł. Wiele czasu w tym tygodniu spędzili rozmawiając o różnych aspektach projektu Reida. Pokazywał jej rysunki, makietę całego osiedla, modele poszczególnych jednostek mieszkalnych. Wybrali się, aby wspólnie podglądać luksusowe bloki i Reid wskazywał, co można zmienić, aby zmniejszyć ostateczny koszt bez obniżania jakości wykonania.

Schowany w dolnej szufladzie biurka artykuł rósł i wydłużał się. Nie sądziła, by Reid zdawał sobie sprawę, jak bardzo była już zaawansowana z pisaniem. Chciała zrobić mu niespodziankę, gdy tylko będzie całkowicie gotowa, a on wyrazi zgodę na publikację. Wciąż więc robiła notatki, choć właściwie wiedziała już o projekcie tyle samo, co Reid. Poza tym było coś w głosie Reida, co sprawiało, że jego słowa zapadały jej w pamięć...

To miłość - mówiła sobie. - *Ależ cię trafiło, Cassidy. Choroba, na którą nie ma lekarstwa...*

Na sąsiednim biurku komputer Chloe wyświetlał tekst w tempie, od którego Cassidy rozbolełaby głowa. W końcu ekran zrobił się pusty, Chloe przeciągnęła się na krzesło i wyprostowała ramiona.

- Gdy się skończy, to jest dopiero ulga, prawda? - powiedziała. - Cały tydzień pracowałam nad tym artykułem i z radością widzę, jak znika z mojego życia.

- Nigdy nie zatrzymujesz sobie wydruku? - spytała Cassidy z ciekawością.

- Komputer nigdy mi jeszcze nic nie połknął - Chloe potrząsnęła głową.

- Mnie też nie, ale na wszelki wypadek zawsze trzymam dla siebie jeden egzemplarz.

- No cóż, pracujesz tak powoli, że ryzyko zmazania tekstu jest większe - odrzekła Chloe tak gładko, że Cassidy nie była pewna, czy miała to być zamierzona złośliwość. - Ja nie potrafiłabym wałkować jednego tematu całymi tygodniami, bez żadnego urozmaicenia.

- Ja też nie - odpowiedziała Cassidy sucho.

- No, w każdym razie ostatnio jesteś godzinami pogrążona w myślach - Chloe wzruszyła ramionami.

- Nawet Brian zauważył, że coś cię gryzie.

- Nie sądzę... - Cassidy przerwała. Dawno już odkryła, że nie ma co odpowiadać na złośliwe uwagi Chloe. Chloe zmieniła się, sytuacja też i choć Cassidy było przykro, że jej dawna przyjaciółka tak się zachowuje, rozumiała tego przyczynę. Czołowa reporterka, życzliwie nastawiona do początkującej dziewczyny, widziała teraz w tej dziewczynie rywalkę. To rozumiała. Za jakiś czas wszystko wróci do normy. Dlatego odpowiedziała spokojnie:

- Mam mnóstwo rzeczy do przemyślenia, chyba wiesz. Część moich rzeczy jest wciąż w tym cholernym akademiku, a póki nie znajdę mieszkania...

Chloe uniosła brwi ze zdziwieniem, a Cassidy ugryzła się w język. W tej samej chwili za ich plecami odezwał się nieśmiały głos.

- Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy...

Cassidy odwróciła się.

- Heather! - Sama była zdumiona radością, jaką poczuła na jej widok.

Dziewczyna postawiła dwie torby przy biurku Cassidy.

- W końcu udało nam się wydostać resztę rzeczy z akademika - powiedziała. - Twój bujany fotel i biblioteczkę przeniesiono do akademika Sigma. Będziesz je mogła zabrać, gdy znajdziesz czas. Niektóre twoje ciuchy leżały w przedziwnych miejscach. - Wskazała na torby i zachichotała. - Zawsze nam powtarzałaś, żeby utrzymywać rzeczy w porządku!

- A co z domem? - spytała Cassidy.

- W przyszłym tygodniu rozpoczynają remont, więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, to na jesieni będzie można tam znów zamieszkać. Dziewczyny chcą, żebyś wróciła.

- To miło.

- Wcale nie. To instynkt samozachowawczy. Ten ostatni tydzień był okropny - przyznała Heather. - Nie mieć własnego miejsca w czasie egzaminów to straszne, ale w dodatku te wszystkie nowe opiekunki w akademikach...

- Nie do wiary - zakpiła Cassidy. - Czyżbyście zaczęły mnie w końcu doceniać?

- No, w każdym razie ty jeszcze pamiętasz, jak to jest, gdy się jest młodym. A niektóre z tych bab chyba nigdy nie były w naszym wieku!

Cassidy roześmiała się - Heather nic się nie zmieniła.

Jeszcze długą chwilę po wyjściu Heather Chloe patrzyła za nią w zamyśleniu.

- Sądziłam, że mieszkasz gdzieś z dziewczętami - powiedziała w końcu.

Cassidy podniosła wzrok, usiłując ukryć niechęć.

- Nie, nie potrzebowali opiekunki w żadnym akademiku.

- Więc gdzie teraz mieszkasz?

Cassidy westchnęła. Czy Chloe nigdy się nie poddaje?

- U przyjaciół - powiedziała spokojnie.

- Kochanie, nie miałam pojęcia! - Nagle Chloe znów stała się przyjaciółką i koleżanką, jak w pierwszych dniach pracy Cassidy w "Alternative". - W tym

akademiku nie płaciłaś za mieszkanie, prawda? To musi być dla ciebie ogromny ciężar finansowy. No i znaleźć mieszkanie na parę miesięcy nie jest łatwo. Musisz zamieszkać z nami przez część lata. Teresa będzie zachwycona. Nawet dziś rano pytała mnie, dlaczego jej ostatnio nie odwiedzasz.

Cassidy kręciło się w głowie.

- Ja... To bardzo miło z twojej strony, Chloe. Ale nie mogę cię obarczać...

- Ależ nic takiego! Będziemy się wspaniale bawić. Teresa będzie taka szczęśliwa...

I jak mam teraz z tego się wykręcić, nie obrażając nikogo? - pomyślała Cassidy.

Reid się spóźniał. Cassidy sądziła, że przyzwyczała się już do nieregularnych godzin jego powrotów, ale gdy wskazówki zegara przesuwwały się, a jego wciąż nie było, zaczęła się niepokoić. W końcu usłyszała odgłos otwierania drzwi garażu i pospieszyła na spotkanie, równocześnie łajac się za to w myśli.

Powinnaś zachować spokój - mówiła sobie - i udawać, że nie zauważasz, kiedy wraca. To ostatecznie jego sprawa, a ty nie powinnaś być ani podejrzliwa, ani zaborcza, bo nie masz prawa pytać go, gdzie był i dlaczego się spóźnił.

Ale i tak spotkała go przy drzwiach wejściowych. Pocałował ją lekko w policzek.

W ten sam sposób mógłby całować swoją matkę - pomyślała. Jej niepokój wzrastał.

- Jestem bardzo głodny - powiedział. - Chodźmy zjeść coś na mieście. Coś zwyczajnego.

- Właśnie robię spaghetti, Reid. Jest już niemal gotowe - nie czujesz, jak pachnie?

Pociągnął nosem.

- Ach tak? Nic nie czułem. W takim razie wszystko w porządku.

Ale jego ton nie wskazywał, by wszystko było w porządku. Poza tym grzebał w talerzu, jakby nie wiedział, co je. *Bardzo głodny? Zachowuje się jak ktoś, kto dwie godziny temu zjadł siedmiodaniowy obiad* - pomyślała.

Było jej przykro, bo sos i spaghetti były dobre, lepsze, niż się spodziewała. W ostatnich dniach pilnie próbowała nauczyć się gotować i nawet zaczęła odnosić pewne sukcesy. Książki kucharskie nigdy nie były jej ulubioną lekturą, ale teraz pilnie się w nie wczytywała. Poprzedniego wieczoru naprawdę smakowały mu żeberka, a rano pochwalił jej kawę. Ale teraz...

Kolacja upłynęła w niemal całkowitym milczeniu. W przeciwieństwie do poprzednich wieczorów nie zaproponował, że pozmywa. Płukała więc sama talerze i wkładała do zmywarki, starając się nie dociekać, co oznacza jego milczenie. Bo znaczyło - musiało znaczyć - że najwyższy czas, by się wyniosła.

Resztki sosu przywarły do garnka. Właściwie powinna po prostu namoczyć go i zostawić. Tymczasem napełniła zlew wodą i zaczęła szorować garnek tak, jakby od tego zależało jej życie i zdrowie. Nie mogła przecież dołączyć do niego w pokoju, póki nie postanowi, co mu powie. Nie będzie czekać na sugestie, że powinna się wyprowadzić. Lepiej samej zacząć mówić na ten temat. Och, on na pewno dałby jej to do zrozumienia w delikatny sposób... Wtedy właśnie łzy zaczęły spływać jej po twarzy.

- Na litość boską, Cassidy, namocz ten garnek i zostaw go. Nie ma sensu spędzać całej nocy na skrobaniu.

Pomyślała, że nie dostrzegł jej łez. Przyszedł do kuchni tylko po coś do picia. A jeśli zauważy, w jakim jest stanie...

Bezmyślnie podniosła dłonie, by zetrzeć łzy, ale udało jej się tylko rozmazać płyn do zmywania naczyń po twarzy, oczach i ustach. Tego było już za wiele, więc rozsłochała się rozpaczliwie.

- Pani Miller nie zabije cię za przypalenie jej garnka. Kupię inny i nigdy się nie dowie... - Przerwał nagle i wpatrzył się w jej drżące usta. - Ale ty wcale nie dlatego płaczesz, prawda?

Potrząsnęła głową. Mydlana piana ściekała jej z policzków na sweter.

Reid wytarł ją kuchenną ściereczką i złapał Cassidy pod brodę, unosząc do góry jej twarz tak, by musiała na niego spojrzeć.

- O co chodzi? - spytał łagodnie, a ton jego głosu wywołał nowe łzy.

Przełknęła i utkwiała wzrok w guziku jego koszuli. *Lepiej, jak powiem sama* - pomyślała. - *Przynajmniej w ten sposób zachowam jakieś resztki godności.*

- Odchodzę - powiedziała zachrypniętym głosem. - Muszę odejść. Teraz. Najwyższy czas, Reid.

Nic nie powiedział, wpatrywał się tylko w nią uparcie. *I podejrzliwie* - pomyślała. Spróbowała się uśmiechnąć. - Ty to wiesz i ja to wiem. Więc nie ma sensu przeciągać tej sytuacji.

Przesunął palcem po śladach łez na jej policzku.

- Ale nie jesteś z tego powodu zbyt szczęśliwa.

- Oczywiście, że nie. Ale zdaję sobie sprawę z tego, co będzie. Zaczynam się czuć związana - i ty też, przyznaj to uczciwie.

Westchnął, ale nie zaprzeczył.

- Niedługo zaczniemy sobie mieć za złe, a ja nie chcę do tego dopuścić - powiedziała, o mało co nie wybuchając znowu płaczem. - Ty też nie, prawda?

- Nie - odpowiedział cicho. - Nie chcę.

Bardzo trudno było tak stać tuż koło niego.

Ściereczka, którą wytarł jej twarz, wciąż zwisała w jego dłoni, jakby zupełnie o niej zapomniał. Złapała ją i długo wycierała ręce. Pomogło jej, że mogła się skupić na tak przyziemnej sprawie.

- Nie musisz odchodzić - powiedział głuchym głosem.

Przez moment w jej sercu rozjarzył się promyk nadziei. Czyżby on...

- A w każdym razie nie dziś wieczór - dodał. - W tej chwili powinienem już być w hotelu Kendrick. Chciałem poczekać do rana, ale...

Wpatrywała się w swoje drżące dłonie.

- Związkowcy nareszcie się porozumieli - kontynuował Reid. - Od jutra rana zamkniemy się w hotelu, aż podejmiemy jakieś decyzje - na tak lub na nie.

Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Ależ z ciebie idiotka - wymyślała sobie w duchu.

Konferencja, plany Reida, artykuł - wszystko to całkowicie wyleciało jej z pamięci, tak bardzo koncentrowała się na problemach osobistych. Teraz dopiero była w stanie dostrzec, jak bardzo był spięty i zdenerwowany. Ale było już za późno, by cofnąć własne słowa.

Wydawało ci się, że jesteś tak cholernie ważna, Cassidy Adams - przeklinała w myśli własną głupotę. - Jakby tylko z twojego powodu mógł być taki milczący i bez humoru! Wyciągnęłaś głupie wnioski i sama zakończyłaś cudowne dni. Tak się bałaś, że cię zrani, że sama podcięłaś sobie żyły, zupełnie jakby w ten sposób miało mniej boleć. Mogłabyś spędzić z nim jeszcze dzisiejszy wieczór, a może i więcej wieczorów. Ale ty musiałaś być taką kretynką!

Była na siebie wściekła, więc zaatakowała na oślep.

- I zapewne miałeś zamiar wyjść jutro do pracy, jak gdyby nigdy nic, nie racząc mnie nawet poinformować!

- Oczywiście, że miałem zamiar ci powiedzieć - odrzekł z pewnym zdumieniem. – Tylko... - przerwał i milczał przez dłuższy czas, potem skończył niepewnym głosem: - Tylko jeszcze nie w tej chwili.

Nie patrzyła na niego, gdy wychodził z kuchni. Spakował się błyskawicznie - szedł już do wyjścia, a Cassidy wciąż tkwiła koło zlewu, obracając w rękach ściereczkę.

- Reid - powiedziała z wahaniem.

Nawet się nie zatrzymał.

- Nie martw się, Cassidy. Umowa to umowa - dam ci znać, jak potoczą się negocjacje.

Jakże teraz mogła mu powiedzieć, że jest jej przykro, że wcale tego nie chciała, że gdyby to od niej zależało, zostałyaby tu na zawsze?

Stała więc bez ruchu i patrzyła, jak Reid odchodzi z jej życia. Tak mocno zaciskała dłonie, że paznokcie zostawiły czerwone ślady na skórze, ale ten ból przejdzie. Natomiast to drugie, wewnętrzne cierpienie zostanie z nią na zawsze.

Gdyby miała jakieś wyjście, nie zostałyaby w "Chatce". Nie mogła jednak przemóc się na tyle, by przyjąć zaproszenie Chloe. Chloe zawsze zadaje pytania,

a Cassidy nie czuła się na siłach stawić jej czoło. Zastanawiała się nad hotelem, ale na to nie miała dość pieniędzy. Natomiast poszukiwanie mieszkania było trudniejsze, niż się jej pierwotnie wydawało.

Po prostu jesteś rozpieszczona - mówiła sobie w czwartek, wracając do redakcji po przerwie obiadowej, w czasie której obejrzała kilka mieszkań. - Nawet krótkotrwałe mieszkanie w Mission Hills całkowicie odebrało ci zdrowy rozsądek!

Po pracy wróciła więc do "Chatki", zaopatrzona we wszystkie lokalne gazety. Po wielu telefonach, gdy już bolało ją ucho, a udało jej się wynotować zaledwie kilka adresów do sprawdzenia w czasie jutrzejszej przerwy obiadowej, postanowiła dać sobie spokój.

Najwyższy czas zająć się artykułem - pomyślała. W każdym razie mogła skupić się na czymś konkretnym. Jej notatki były tak pomieszane, że przez pół godziny układała je we właściwej kolejności. Czyżby wrzucała je do teczki aż tak nieporządnie? Dwa dni temu, gdy wygładzała styl artykułu, Reid niespodziewanie wszedł do pokoju, ale przecież...

Reid - to musiał być on. Otworzył najwidoczniej jej teczkę, przejrzał notatki i pospiesznie wepchnął kartki z powrotem. Powinna być wściekła za jego wścibstwo, ale jakoś nie mogła. Z tych notatek i tak zresztą niewiele się dowiedział. Bardziej interesowałaby go na wpół ukończona wersja artykułu, ale ta spoczywała aż do dzisiaj bezpiecznie w szufladzie jej redakcyjnego biurka.

Usiłowała pracować, ale co chwila myśli uciekały jej w marzenia. W końcu poddała się. Zeszła na dół, do jego gabinetu i bez wyrzutów sumienia przeszukała biurko, aż natrafiła na adres letniego domku nad jeziorem Table Rock. Skoro on grzebał w jej rzeczach, ona ma do tego takie samo prawo - powiedziała sobie. Poza tym adres był jej potrzebny. Wciąż jeszcze nie napisała z przeprosinami do jego matki.

Miałaś nadzieję, że przeprosisz ją osobiście - powiedziała sobie bez ogródek. - *Miałaś nadzieję, że do tego czasu układ będzie inny, że ty i Reid...*

Takie myśli zbyt bolały. *Może to i lepiej, że położyłam temu kres* - pomyślała. Koniec i tak był nieunikniony, więc nie było sensu przeciągać sytuacji. A jednak nie potrafiła żałować minionego epizodu. Miłość do Reida była warta całego cierpienia, jakie ją teraz czeka. Kiedyś, w przyszłości, gdy cierpienie nieco osłabnie, w pamięci zostaną tylko piękne, radosne chwile. A było ich wiele. Reid dbał i troszczył się o nią w wyjątkowy sposób.

Miłość - pomyślała - *to nie tylko namiętność*. To cały szereg drobnych rzeczy, jak szukanie o północy ciasta czekoladowego, jak przyjście na przyjęcie do akademika tylko dlatego, że ona tam musi być, jak przyniesione do łóżka bułeczki i kawa...

Telefon zadzwonił i Cassidy automatycznie podniosła słuchawkę.

- Jesteś jeszcze - usłyszała głos Reida.

Idiotka - pomyślała. - *Powinnaś była zignorować dzwonek*.

- Przysięgam, że już jutro się wyprowadzę...

- Nic pilnego. Wygląda na to, że to spotkanie potrwa dłużej.

- Nie możecie się dogadać?

- W każdym razie bardzo powoli. A kiedy szesnastu facetów siedzi zamkniętych w małym pokoju, a żaden od trzech dni nie brał prysznica...

- Przecież nie jesteś tam od trzech dni!

- Wydaje mi się, że nawet dłużej. Cassidy, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym na chwilę wpadł do domu?

Zacisnęła dłoń na słuchawce, ale zmusiła się do spokoju. *Dzięki Bogu, że odebrałam telefon* - pomyślała. - *Inaczej uznałby, że mnie tu nie ma i oboje mielibyśmy nieprzyjemną niespodziankę*.

- To twój dom. Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu.

- Mogę być późno - ostrzegł. - Zostawiłem notatnik na biurku, a będę potrzebował go z samego rana. Tylko nie wiem, o której dzisiaj skończymy.

Wyciągnęła rękę i pogładziła skórzaną okładkę zapomnianego notatnika.

- Mogę ci go przynieść - wymknęło jej się, więc dodała pośpiesznie - I tak miałam zamiar wyjść.

- Po co, o tej porze?

To nie twój interes - pomyślała ze złością. Zaburczało jej w brzuchu, przypominając, że nie jadła kolacji.

- Mam straszną ochotę na ciasto z truskawkami.

- Rozumiem. A zatem, jeśli podrzucenie notatnika nie sprawi ci kłopotu, będę bardzo wdzięczny.

- Zostawię go w recepcji.

- Cassidy - zawahał się. - Wolałbym nie, bo są w nim dość ważne dane. Powiem w recepcji, żeby dali ci klucz. Mieszkam w apartamencie C na siedemnastym piętrze.

Chciała zaprotestować, ale dała spokój. Ostatecznie nie będzie go tam, więc cóż za różnica? Nie będzie musiała go widzieć...

To nieprawda. Chcę go widzieć - pomyślała, odkładając słuchawkę. - Chcę go objąć i scałować jego samotność.

Samotność? Czy naprawdę jego głos tak brzmiał? A może wmawia sobie coś, co chciałaby, żeby było prawdą?

Długo jeszcze siedziała przy biurku Reida. Wstała, gdy podjęła już decyzję. Nic nie mogła zyskać, usuwając się i roztkliwiając nad sobą. Jeśli spróbuje podjąć na nowo grę, może cierpieć, ale cierpienie jest nieodłączną częścią życia. Głupio natomiast cierpieć z góry, zawczasu.

Kendrick był jednym z największych hoteli w śródmieściu. Reid wyjaśnił jej kiedyś, że wybrał go z dwóch powodów: miał położenie wygodne dla przyjezdnych oraz, co ważniejsze, jego wielkość gwarantowała anonimowość.

Apartament był luksusowy. Otworzyła drzwi i przez chwilę stała cicho, nasłuchując. Nie dotarł do niej żaden dźwięk, przeszła więc przez salon, położyła notatnik na środku stolika i zaczęła rozpakowywać torbę, którą ze sobą przyniosła. Nie trwało to długo.

Potem zostało tylko czekanie. Nie miała co robić, więc siedziała i myślała, czując, jak z wolna ogarnia ją panika. W "Chatce" wszystko wydawało jej się proste - wystarczy mu powiedzieć, że się pomyliła, że nie chce od niego jeszcze odchodzić. Ale teraz nie mogła sobie wyobrazić, że będzie w stanie to

zrobić. Dwukrotnie zrywała się z fotela, by uciec i dwukrotnie zmuszała się do pozostania.

Reid przyszedł późno w nocy. Zapalił światło i zamarł na progu.

- Obsługa hotelowa - zazartowała Cassidy. - Wydawało mi się, że w twoim głosie też była tęsknota za ciastem z truskawkami... - Zamilkła. Czy on ma zamiar stać tam bez końca? Mówiła dalej, teraz już niepewnym głosem: - Myślałam... Powiedziałeś, że ten notatnik jest ważny, więc nie chciałam tak go zostawiać...

- Nie jest aż tak ważny - powiedział cicho.

Wciągnęła oddech, chcąc mówić dalej, ale strach złapał ją za gardło i nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- No, to jak już masz swój notatnik... - wyjąkała w końcu. - Ach, tak, ktoś dzwonił do ciebie, gdy już wychodziłam. Jakaś kobieta pytała o pana Cavanaugh, ale nie chciała zostawić żadnej wiadomości. Powiedziała, że jeszcze zadzwoni. Była bardzo uprzejma, ale nie podała mi swego nazwiska. - *A ja nie nalegałam*, dodała w myśli, *bo bałam się, że to ta, na której ci zależy*.

Przez chwilę Reid robił wrażenie, że jej nie słyszał.

- To nie była moja matka?

- Czy ona nazywa cię panem Cavanaugh?

- Na ogół nie - wzruszył ramionami. - Więc to nie mogło być nic ważnego. Czy mówiłaś coś o cieście z truskawkami?

- Jest w torbie. Zostawię cię teraz, żebyś mógł odpocząć. - Nie patrząc na niego, ruszyła do drzwi.

- Cassidy - wyciągnął rękę i złapał ją za ramię. - Zostań jeszcze. Proszę.

To nie była tylko jej wyobraźnia, naprawdę w jego głosie brzmiała nuta tęsknoty. Uniosła wzrok. Wpatrywał się w nią, a potem przyciągnął do siebie gwałtownie. Pocałunek sprawił, że w jej żyłach zaczął krążyć żywy ogień.

- Zostań ze mną - szepnął chrapliwie. - Potrzebuję twojego ciepła, Cassidy. Pozwól mi tej nocy trzymać cię w ramionach...

O mało nie rozplakała się ze szczęścia. Gdyby czuł do niej tylko fizyczną namiętność, na pewno użyłby innych słów. Z radością więc przytuliła się do

niego i odpowiadała na jego pieszczoty z takim żarem, żeby zrozumiał, iż żałuje popełnionego błędu.

Dźwięk zamykanych drzwi obudził ją następnego ranka o bardzo wczesnej godzinie. Reida już nie było. Wrócił zatem do tego wypełnionego dymem z papierosów pokoju, gdzie dziś, jutro lub za parę dni zapadną decyzje. Miała nadzieję, że po ostatniej nocy był wypoczęty.

Otuliła się hotelowym szlafrokiem i podciągnęła rękawy. Na stoliku koło kanapy stała taca z niemal nietkniętym śniadaniem. Kawa w termosie, sok, bułeczki - przysłano dosyć na dwie osoby, dołączając egzemplarz "Alternative" i drugiej porannej gazety. Cassidy odgryzła kawałek bułeczki i sięgnęła po swój dziennik.

I mało co się nie udławiła, widząc swój artykuł wydrukowany na pierwszej stronie. Artykuł, nad którym tyle pracowała, czekając, aż będzie mogła dać go do druku. Artykuł, który wciąż przecież tkwił w jej teczce w "Chatce". Historia nowego planu Reida, pełna rzeczy, które Reid powiedział, faktów, które jej powierzył po otrzymaniu obietnicy, że ani słowo nie ujrzy światła dziennego, zanim projekt nie zostanie zatwierdzony.

Tak - myślała, przebiegając wzrokiem linijki druku. - *To na pewno mój artykuł.*

Z jednym wyjątkiem: podpisany był przez Chloe McPherson.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Szok, wywołany widokiem wydrukowanego artykułu, sparaliżował Cassidy. Dopiero po chwili była w stanie pomyśleć o wpływie, jaki ten fakt będzie miał na nią, na Reida, na sam projekt.

Nie miało sensu udawanie, że może nic się nie stało. Egzemplarz gazety dostarczono rano do każdego pokoju hotelowego. Każdy z piętnastu negocjatorów dostał go ze śniadaniem i na pewno żaden nie przegapił bijącego w oczy tytułu. Nic dziwnego, że Reid nie miał ochoty nic jeść. Siedząc nad poranną kawą widział, jak cała praca, plany i negocjacje biorą w łeb. A jeśli chodzi o samą Cassidy...

Nie mogła nawet głębiej odetchnąć, płuca ścisnęła jej stalowa obręcz. Przez moment zastanawiała się nad swoją posadą, ale za późno już było, żeby się tym przejmować. Reporterowi, który dał słowo i nie dotrzymał go, nikt już nigdy nie uwierzy. Gdy negocjacje zostaną przerwane, konieczny będzie komunikat. Nie może mieć Reidowi nawet za złe, jeśli w gniewie zrzuci na nią winę, opowiadając wszystko dokładnie i ze szczegółami.

Zastanawiała się z rozpaczą, co on myśli. Że zrobiła to celowo, przekazując informacje Chloe? Fakt, że nie porozmawiał z nią o tym przed wyjściem, był znamieny. Wolałaby, żeby wtargnął wściekły do sypialni i zażądał wyjaśnień... Ale tego nie zrobił. Najwyraźniej uważał, że wie wszystko, co mu potrzeba i rozmowa z nią niczego nie jest w stanie wyjaśnić.

Zacisnęła zęby i uważnie przeczytała artykuł. Chloe nie ukradła oryginalnej wersji, lecz wykorzystała artykuł Cassidy jako podstawę, do której dodała własną interpretację, rozważając przyczyny podjętych przez Reida działań i insynuując, że coś się za nimi musi kryć. Pracowała chyba nad tym przez kilka dni.

A ja byłam tak pogrążona w moim małym, romantycznym światku, że nie zauważyłam, co się dzieje - pomyślała Cassidy. - Ależ ze mnie idiotka!

Straciła kilka minut na uzalanie się nad sobą.

W końcu poszła się ubrać. Reid wyciągnął fałszywe wnioski, ale musiała przyznać, że miał do nich podstawy. W każdym razie była mu - i sobie - winna przynajmniej jakąś próbę uratowania sytuacji. Jeśli zostało jeszcze cokolwiek do uratowania.

Cassidy podeszła do Chloe i trzepnęła egzemplarzem "Alternative" o biurko z taką siłą, że Chloe podskoczyła na krześle i zbladła. Cassidy poczuła ponurą satysfakcję.

- Ach, to ty - powiedziała Chloe. - Co ci przyszło do głowy? Myślałam, że ktoś strzela.

- Ukradłaś mój artykuł - rzekła Cassidy, nie starając się ściszać głosu, więc w promieniu dziesięciu metrów wszyscy unieśli głowy.

- Jaki artykuł?

- Ten - Cassidy wetknęła gazetę Chloe pod nos.

Chloe wzruszyła ramionami.

- Pomysły nie są zastrzeżone, jak wiesz. Najwyraźniej obie ruszyłyśmy tym samym tropem.

- W tym nie ma żadnego przypadku, Chloe!

- Może jednak porozmawiamy o tym na osobności. - Głos Briana przeciął ich kłótnię.

- Na osobności? - spytała gorzko Cassidy. - Chyba żartujesz, Brian. Rozgłosiłeś to na całe Kansas City, a teraz mówisz "na osobności"! Nawet nie byłeś ciekaw, nad czym pracuję i dlaczego nie można tego jeszcze publikować!

- Nad czym ty pracujesz? Dawno temu powiedziałaś mi, że dałaś sobie spokój z Reidem Cavanaugh!

- No tak - westchnęła Cassidy. - Wszystko jasne. Nie powiedziała ci, że to mój temat. Zastanawiałam się, jak taki profesjonalista jak ty mógł pozwolić, by jeden reporter kradł pracę drugiego, dorabiał do tego skandalizujący smaczek i publikował. Teraz wiem - jesteś po prostu niekompetentny!

Twarz Briana stała się purpurowa.

- Chodźcie obie do mego biura!

Cassidy zignorowała go i zwróciła się do Chloe.

- Mówiłam ci kiedyś, że zawsze zatrzymuję wydruk z tego, nad czym pracuję. Przeszukałaś moje biurko i znalazłaś go, tak? Nie trudź się zaprzeczaniem. Mogę udowodnić, że go ukradłaś, bo mam swoje notatki i własną kopię.

- No, dobrze - powiedziała Chloe zupełnie opanowanym głosem. - Nie zaprzeczam, że zobaczyłam, nad czym pracujesz. Szukałam w twoim biurku zszywacza, wpadł mi w ręce artykuł i przeczytałam go. A potem sprawdziłam kilka rzeczy...

Znalazła także moje notatki - pomyślała Cassidy. - Nic dziwnego, że były pomieszane.

- I im bardziej zagłębiałam się w temat, tym wyraźniej widziałam, że wciąż przepuszczasz okazję, by go opublikować - oświadczyła Chloe. - Gdyby to od ciebie zależało, pewnie nigdy nie posłałabyś go do druku! Nie pracowałam na rzecz gazety - pracowałam na rzecz Reida Cavanaugh! Twego byłego męża!

Kilka osób, przysłuchujących się tej scenie, gwałtownie wciągnęło powietrze.

- Dlaczego wcześniej nie przyszedł do mnie z tym oskarżeniem, Chloe? - spytał Brian, podnosząc głos.

- Bo nie chciała, żebyś mnie o to pytał - odpowiedziała mu Cassidy. - Rzeczywiście uwierzyłeś, że dokopała się tych wszystkich informacji w czasie przerwy na kawę?

- Było jasne, co się dzieje - Chloe wzruszyła ramionami. - Nie chciałaś powiedzieć, gdzie mieszkasz. Coś podejrzewałam, oczywiście, a kiedy wczoraj wieczorem odebrałaś w jego mieszkaniu telefon...

To pytanie o pana Cavanaugh - przypomniała sobie Cassidy. Chloe oczywiście poznała jej głos, spodziewała się go zresztą.

Nie przeszli do biura Briana, by kontynuować awanturę. Cała paskudna historia została wywleczone na środku pokoju reporterów. Tu także, na oczach kilkunastu ciekawskich kolegów, Chloe dostała wymówienie od naczelnego, który był tak wściekły, że słowa z trudem przechodziły mu przez zaciśnięte szczęki. Mrucząc pod nosem inwektywy, Chloe pozbierała osobiste rzeczy i poszła sobie.

Brian rzucił okiem na resztę personelu i powiedział głośno:

- No dobra. Teraz do roboty - i dodał ciszej: - Gdybyś tylko mi powiedziała, czym się zajmujesz...

Miał oczywiście rację. Gdyby nie usłuchała Reida i kierowała się własnym zdaniem, cała ta historia nie miałaby miejsca.

- Nie naskakuj na mnie, Brian. Może byłam głupia, ale ty też okazałeś się idiotą, że nie spytałeś, skąd wzięła ten cały materiał - Cassidy przerwała i po chwili dodała sztywno: - Przepraszam za moje słowa, że jesteś niekompetentny.

- Chloe przyniosła mi artykuł. Miała wszelkie uzupełniające informacje. Nie miałem powodu, żeby je kwestionować. - Przełknął ślinę. - Ale masz rację. Powinienem być podejrzewać, że nie mogła tego tak łatwo zgromadzić w ciągu tygodnia.

- Niestety, to wszystko nie rozwiązuje problemu. - Wyciągnęła szuflady biurka i wpatrzyła się w cały stos osobistych rzeczy, które zdążyły się w nich nagromadzić. - Czy mamy tu gdzieś jakieś pudło?

- Pudło? Po co? Cassidy, nie masz chyba zamiaru odejść?

- To nie żaden dramatyczny gest z mojej strony, Brian, wierz mi. To czysto praktyczne posunięcie. Kto teraz zechce ze mną jeszcze rozmawiać?

- Ale to nie była twoja wina.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś w to uwierzy? To tylko moje słowo przeciw słowu Reida.

- Ale jeśli on naprawdę jest twoim byłym mężem... - Brian przerwał. - No tak. Rozumiem. Czy mogę coś zrobić, by uratować sytuację? Artykuł od redaktora, przepraszający za brak wyczucia...

- Za późno. Może raczej osobiste przeprosiny. "Alternative" nie może sobie pozwolić na obrażanie ludzi.

- Więc to aż takie ważne? - westchnął Brian, ale w jej twarzy odczytał odpowiedź. - W porządku, osobiste przeprosiny. Jeśli uda nam się wejść na tę konferencję, oczywiście.

Udało się. Cassidy dopadła pikolaka stojącego przed salą, w której odbywało się spotkanie i powiedziała mu, że muszą wejść do środka, że to sprawa życia i śmierci. Pikolak spojrział na nią i machnął ręką.

Najwyraźniej wyglądam tak, że we wszystko by uwierzył - pomyślała. Poza tym to była prawda. Chodziło o śmierć - śmierć tego wszystkiego, o czym marzyła poprzedniej nocy, gdy przez chwilę uwierzyła, że wszystko będzie w porządku...

Przestała o tym myśleć na widok szesnastu kamiennych twarzy, które podniosły się znad stołu zawalonego dokumentami, kontraktami i gazetami. Nie pamiętała później, co mówiła, nie słyszała również Briana.

Patrzyła na piętnastu obcych mężczyzn i tego jednego, który byłby znajomy i drogi, gdyby nie wyglądał tak nieustępliwie i wrogo. Jego oczy

mówiły: Czy dlatego przyszłaś do mnie wczoraj? Bo chciałaś jeszcze raz pójść ze mną do łóżka, zanim mnie zdradzisz?

Przestała na niego patrzeć. I tak było za późno. Za późno, by uratować projekt, można to było odczytać z twarzy ludzi, którzy odpowiedzieli im jedynie milczeniem. I za późno, by uratować jej nadzieję na urzeczywistnienie marzeń.

Nieprzyjazna cisza w pokoju przejęła ją chłodem. Ale wyszła z suchymi oczyma i wysoko uniesioną głową. Była zbyt zrozpaczona, by łzy mogły jej pomóc.

Z uczuciem ulgi otworzyła drzwi "Chatki". Przynajmniej w tym chłodnym, spokojnym mroku może być przez chwilę sama i zastanowić się nad tym, co się wydarzyło. Musi także pomyśleć o przyszłości. W końcu nie zabrała swoich rzeczy z redakcji, ale nie dlatego, że Brian ją przekonał. Nie, po prostu stamtąd może wynieść się w dowolnej chwili, natomiast "Chatka" to co innego. Stąd musi zniknąć jak najprędzej.

Będzie musiała spotkać się z Reidem. Wolałaby oczywiście po prostu uciec, ale tym razem nie mogła tego zrobić. Musiała go przeprosić dla własnego spokoju, ale lepiej zrobić to na neutralnym gruncie, a nie tutaj.

Była tak zatopiona w myślach, że dopiero po wejściu do sypialni zorientowała się, że ktoś tam już jest. Krzyknęła zaskoczona. Od biurka odwróciła się kobieta, trzymająca w ręce ścierkę do kurzu.

- Ach, pani Miller. - Dzięki za niespodziankę, Reid - pomyślała kwaśno. - Mogłeś mi powiedzieć, że pani Miller wraca. - Myślałam, że pani jest jeszcze w Table Rock.

- Wiosenne porządki zawsze zajmują mi tydzień. Jak tylko skończę, wracam tutaj. - Nie wydawała się ani zaskoczona, ani zmieszana obecnością Cassidy. Sama Cassidy nie była tak opanowana.

- Czy pani Cavanaugh też przyjechała?

Gospodyni potrząsnęła głową.

- Przyszłam zabrać swoje rzeczy - powiedziała Cassidy z ulgą, starając się, by jej głos brzmiał normalnie. - Postaram się nie kręcić pani pod nogami w czasie pakowania.

Pani Miller nie odpowiedziała. Nie wyszła także z pokoju.

Cassidy przygryzła wargi i wyciągnęła spod łóżka walizkę. *Nie mam jej za złe* - pomyślała, układając rzeczy. - *Sprawdza, żebym nie wzięła niczego, co nie jest moje.*

A jednak było to krepujące. Jej rzeczy były w najdziwniejszych miejscach. Automatycznie przenosiła ubrania z szuflady do walizki. Niektóre poplątały się z ubraniami Reida.

Pani Miller wydawała się nic nie zauważać. Starannie wycierała kurze i myła lustra. Cisza zaczynała działać Cassidy na nerwy.

- Nigdy jakoś nie miałam okazji podziękować pani za to ciasto czekoladowe, które piekła pani w nocy dla mnie dawno temu - powiedziała w końcu.

Pani Miller prychnęła.

- To nie ja. Może mi pani tylko podziękować za sprzątanie, jakie później musiałam zrobić w kuchni. Zostawił taki bałagan...

Cassidy zamarła w pół ruchu.

- Reid sam je piekł? - Była zdumiona.

- No jasne. I nawet nie namoczył naczyń. Następnego ranka miałam zaschnięte ciasto wszędzie: na blatach, stole, podłodze - i zniszczoną najlepszą foremkę.

Nie mogę pozwolić sobie na sentymenty - pomyślała Cassidy. Kiedyś uznałaby to za dowód, że mu na niej zależy - i może tak było - kiedyś. Teraz jest starsza i mądrzejsza, i wie, że to nie ma znaczenia.

Zamknęła pierwszą walizkę i zabrała się za następną. Pani Miller wytarła kurz z biurka chyba po raz trzeci i wyszła w końcu z pokoju.

Cassidy westchnęła z ulgą. Wyjęła papier listowy, usiadła po turecku na łóżku i postawiła sobie na kolanach tacę.

- *Drogi Reidzie* - napisała i przerwała. Czy istnieją słowa, w których mogłaby w pełni wyrazić swój żal za to, co się zdarzyło? A jeśli chodzi o inne rzeczy - jak może mu podziękować? Za przywrócenie jej do życia, lekcję nie tylko namiętności, ale i miłości, którą zawsze będzie nosiła w sercu?

"Drogi Reidzie - chcę podziękować Ci za wszystko i przeprosić za sposób, w jaki odpowiedziałam na Twoją uprzejmość." - Do diabła, Cassidy -

powiedziała sobie - przecież nie piszesz wiktoriańskiej powieści! - Zwinęła kartkę i rzuciła w kierunku kosza na papiery. Nie trafiła.

- Czy to jeszcze jeden z twoich sławnych pożegnalnych listów, Cassidy? - usłyszała za sobą łagodny głos. Odwróciła się, przerażona. Reid zamknął drzwi sypialni i oparł się o nie.

On tu nie może być - pomyślała. - *Chyba że rozeszli się natychmiast po naszym wyjściu, nie kończąc nawet dyskusji.* Ta myśl sprawiła, że zrobiło się jej niedobrze.

- Nie sądziłam, że tak szybko wrócisz do domu - powiedziała cicho. - Myślałam więc...

- Najwyraźniej. - Powoli przeszedł przez pokój, jakby zbliżał się do dzikiego zwierzęcia, które w każdej chwili może rzucić się do ucieczki. - Zawsze efektownie odchodziłaś, Cassidy. - Zatrzymał się, by podnieść zmiętą kartkę, przeczytał ją i podarł na kawałeczki. - Masz talent do pożegnalnych słów.

Siedziała bez ruchu na środku łóżka.

- Dlaczego? - zapytał.

- Chyba dlatego, że Chloe była zazdrosna. Po jej odejściu dostawałam najlepsze zlecenia. Kiedy wróciła, byłam na jej miejscu, miałam temat, na który ona też miała ochotę, a ja nic z nim nawet nie robiłam...

Potrząsnął głową.

- Nie chodzi mi o artykuł, Cassidy, tylko o to. - Wskazał na dwie walizki, zapakowane, zamknięte i przygotowane do wyniesienia.

- Dlaczego się wyprowadzam? - W jej głosie słychać było zdziwienie. - Bo już po wszystkim, Reid. Wszystko się skończyło.

- Tak, powiedziałaś mi to parę dni temu. A jednak wczoraj przyszłaś do mnie.

- Wczoraj było... - Pomyślała, że wczoraj było pięknie i dobrze, i będzie przechowywać pamięć tej nocy do końca życia. Nie chce teraz kłamać i mówić, że to był błąd. - Nie martw się, nie będę cię nachodzić ani prześladować.

- Uważasz, że to koniec? - spytał cicho.

Oddychała nierówno. Czy on... czy to możliwe, że mimo fiaska z artykułem nic się nie skończyło, że nie czeka z niecierpliwością, aż sobie pójdzie?

- Masz swój artykuł. Tylko o to ci chodziło - powiedział i promyczek nadziei zgasł. - Na swój sposób jesteś tak samo bezwzględna jak Chloe, prawda?

- Nie jestem... - Ale jakie teraz miało to znaczenie, co on o niej myśli? Niech sądzi, że jest bez serca - przynajmniej nie będzie wiedział, że je złamał.

- Powinno mi chyba pochlebiać, że uznałaś artykuł za aż tyle wart. - Przeciągnął dłonią po policzku, jakby nie pamiętał, czy ogolił się rano.

Najwyraźniej chciał ją zranić. Nie mogła tego znieść.

- Nie chodziło o artykuł - powiedziała. - Żałuję, że w ogóle był jakiś cholerny artykuł!

- Nie wątpię - odrzekł, jakby nie miało to znaczenia. - Ale był i teraz nic się z tym nie da zrobić. Powiedz mi, Cassidy, czy brałaś kiedyś pod uwagę, że to się może nigdy nie skończyć?

- Nie wiem o czym mówisz.

- A jeśli jesteś w ciąży?

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że gdzieś w głębi ducha brała pod uwagę taką możliwość. Ale najwyraźniej tak było - nie czuła się bowiem zaszokowana. Poczowała tylko smutek i trochę strachu, jakby ryzykowała na ślepo i przegrała.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała, ześlizgując się z łóżka i wstając. - Teraz jest inaczej niż wtedy, z Czekoladką. Jeśli jestem w ciąży...

Mruknął coś pod nosem.

Straciłaś rozum, Cassidy - powiedziała sobie z niedowierzaniem. - *Albo słuch cię zawodzi. On nie mógł powiedzieć tego, co ty usłyszałaś.*

- Mam nadzieję, że jesteś - powtórzył głośniejszym głosem.

Schyliła się po swoje walizki.

- Jeśli nawet tak jest, nigdy się o tym nie dowiesz.

- Nie wierz w to. Teraz już znam twoje gierki. Odszukam cię...

- I zabierzesz mi dziecko? Tym razem to nie będzie takie łatwe, Reid. Nie jestem w rozpaczy, a moje dziecko nie jest na sprzedaż... - przerwała, zdając sobie nagle sprawę z idiotyzmu tej rozmowy. Kłócić się o dziecko, które jest zaledwie hipotetyczną możliwością, co za głupota! Ale nie mogła przestać mówić.

- Chyba chodzi ci o to, że jestem ci winna zdrowe dziecko - w zamian za tanto...

Jego twarz pociemniała. Złapał ją brutalnie za ramiona.

- Nigdy więcej nie sugeruj, że ono było dla mnie tylko czymś, co kupiłem. To było także i moje dziecko, Cassidy - nie biologicznie, ale w każdym innym sensie. A to dziecko będzie...

- Jeśli w ogóle jakieś będzie - przerwała mu łamiącym się głosem. - Musiałam chyba stracić zmysły, żeby się nie zabezpieczyć!

- Chyba oboje byliśmy trochę szaleni - powiedział. Odwrócił się od niej, podszedł do okna i opadł ciężko na stojący obok fotel.

Tak to chyba można ująć - pomyślała. - Gdzieś w głębi duszy pozwoliłam sobie myśleć, że jeśli zajdę w ciążę, tym razem będzie inaczej - że zachowam i dziecko, i Reida.

Patrzył na nią.

- Wiedziałem, że to się może stać - powiedział w końcu. - I nie miałem nic przeciwko temu. Gdyby z naszego aktu miłości powstało nowe życie...

- Miłości? - powtórzyła gorzko.

- ...to będę się tylko cieszyć. Ze względu na nie samo, ale także dlatego, że nie mogłabyś znowu ode mnie odejść, jakby to nie miało żadnego znaczenia. Musiałabyś dokonać wyboru...

Odwróciła się do niego gwałtownie. W oczach miał smutek.

- Pamiętam, z jakim bólem myślałaś o oddaniu Czekoladki i wiem, że nie mogłabyś tego zrobić po raz drugi. I myślałem, że jeśli nawet nie chcesz związać się ze mną, zrobisz to dla dziecka...

Serce Cassidy biło tak mocno, że mało nie wyskoczyło jej z piersi.

- Myślałem, że jakoś się ułoży, że ty zatrzymasz dziecko, a ja zatrzymam ciebie - skończył chrapliwym szeptem.

Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczyma. Cały świat umilkł i tylko dudnienie krwi w uszach przypominało jej, że jeszcze żyje.

Potań skronie.

- Głupio, prawda? Myśleć, że to by wystarczyło...

Głos uwiązał jej w gardle. Na próżno usiłowała się odezwać.

- To właśnie planowałem, gdy czekaliśmy na narodziny Czekoladki - mówił dalej cicho. - Chciałem wykorzystać dziecko, by cię zatrzymać, aż pewnego dnia dostrzegłabyś, że ja... - przerwał i westchnął. - Nawet nie wiem, kiedy to się zaczęło. Może tego pierwszego wieczoru w kawiarni, gdy wbrew moim oczekiwaniom nie przyjąłeś z ulgą moich propozycji. Zanim zdałem sobie sprawę ile dla mnie znaczysz, tkwiłaś już głęboko w moim sercu. Czuję się winny - przyznał. - Za to, że pragnę cię wziąć do swojego łóżka, gdy obiecałem opiekować się tobą. Winny nawet za to, że cię kocham, gdy ty ciągle oplakujesz Kenta i nosisz jego dziecko - westchnął. - Wiedziałem, że nie mogę konkurować z Kentem. Nie rzeczywistym - prawdziwego Kenta bym się nie bał. Ale z twoimi o nim wspomnieniami, idealizowaniem go - żaden żywy człowiek nie byłby w stanie z tym wygrać.

Pokręciła głową, ale wciąż nie była w stanie przemówić.

- Myślałem jednak, że któregoś dnia tęsknota za nim zblednie, i jeśli będę wtedy przy tobie... Czasami wierzyłem, że to już niedługo. Kiedy zaczęłaś się znowu śmiać... Myślałem, że mam czas - że kiedy dziecko się urodzi, zaproponuję ci, żebyś trochę jeszcze została, a potem, w miarę upływu tygodni i miesięcy, może uznasz mnie za namiastkę...

Ciebie? - pomyślała. - Zawsze byłeś taki pewny siebie, nigdy nie sądziłam, że uważasz się za nie dość dobrego!

- Nigdy, absolutnie nigdy nie uważałam cię za namiastkę - powiedziała chrapliwie.

Jej słowa jakby dodały mu lat. Opuścił wzrok na dywan i nie widział, że wyciągnęła do niego ramiona.

- A potem nagle Czekoladki już nie było. I mnie nie było przy tobie, by cię zatrzymać. Tylko że ty i tak najwyraźniej nie chciałaś mnie więcej widzieć.

Sądziłam, że jak dziecka już nie ma, będziesz chciał się mnie czym prędzej pozbyć! - krzyczała w duchu.

- Poszłaś sobie i nawet nie mogłem ci powiedzieć, jak bardzo żałuję.

- Nie próbowałeś mnie odnaleźć - szepnęła.

- Ty... miałaś nadzieję, że będę cię szukać? - Jego głos brzmiał dziwnie.

Kiwnęła głową.

- Powiedziałem sobie, że skoro chcesz zniknąć, Cassidy, nie mam prawa cię szukać i znowu unieszczęśliwiać. Ale przez te cztery lata, ile razy szedłem ulicą, rozglądałem się za złotorudymi włosami, a gdy mi się wydawało, że dostrzegam... - Wstał i podszedł do niej, przesunął palcami po kosmykach opadających jej na ramię. - Cassidy...

Zwróciła się do niego, a gorące łzy spływały jej z oczu.

- Miałaś rację, Reid. W tym co mówiłeś, że boję się życia, boję się kochać... To nie dlatego, że straciłam Kenta. I nawet nie z powodu Czekoladki. To dlatego, że straciłam ciebie.

Przyciągnął ją i przytulił mocno do piersi, chowając twarz w jej włosach. W jego ramionach była bezpieczna. Kurczowo trzymała go za koszulę.

- Tak bardzo się starałam, żeby się w tobie nie zakochać - szepnęła. - To było nielojalne wobec Kenta! Ale tej nocy, gdy nadaliśmy Czekoladce imię, chyba już wiedziałam, że to ty...

- Myślałem, że płaczesz, bo nie ma z tobą Kenta - przyznał łamiącym się głosem. - Bo to tylko ja.

- Nie, och nie - potrząsnęła głową.

- Dlaczego uciekłaś?

- Bo bałam się chwili, w której powiesz mi, żebym się wyniosła...

- Nigdy bym ci tego nie powiedział, Cassidy.

- Tego też się chyba bałam. Byłeś dla mnie taki cholernie uprzejmy - uprzejmy, i nic więcej. Nie chciałam twojej litości...

- Czy dlatego nie pozwoliłaś sobie pomóc? Dlatego odsyłałaś mi pieniądze?

- Nie chciałam twoich pieniędzy, Reid. I nie sądziłam, bym mogła mieć to, czego pragnę. Pragnęłam twojej miłości, chciałam, żebyś kochał mnie dla mnie samej... - Głos jej zamarł, zduszony wspomnieniem tej strasznej tęsknoty.

- Kochałem - szepnął. - I zawsze będę kochać. Przez ten ostatni tydzień mało nie oszalałem, próbując pokazać ci, jakie wspaniałe mogłoby być nasze życie.

- A ja udawałam, że mogę od ciebie odejść bez złamanego serca...

- Ależ byliśmy głupi - powiedział. - Oboje baliśmy się powiedzieć prawdę...

Przez długi czas potem nic nie mówili. Są rzeczy, których nie można wyrazić słowami. Które lepiej przekazać w języku pocałunków, dotyku, oczyszczających łez.

W końcu Reid oparł policzek o jej włosy. Siedziała już wtedy na jego kolanach, w wielkim fotelu.

- Tak się bałem, Cassidy - powiedział drżącym głosem. - Bałem się zaufać memu sercu, które twierdziło, że nie zachowywałabyś się tak, gdybym nic dla ciebie nie znaczył. Bałem się, że chodzi ci tylko o artykuł...

- Artykuł? - zamruczała nieprzytomnie. - Jaki artykuł?

- Ten, który napiszesz dla jutrzejszego wydania "Alternative" o nowym rodzaju mieszkań Cavanaugha.

Umościła się wygodniej w jego ramionach.

- Nie jestem pewna, czy wciąż pracuję w "Alternative", Reid... - I nagle dotarło do niej znaczenie jego słów. - Czy to znaczy, że negocjacje nie zostały zerwane? Sądziłam, że dlatego wróciłeś do domu tak wcześnie...

- Właściwie awantura skończyła się, zanim ty i twój naczelny pojawiliście się na sali. Nie twierdzę, że dzisiejszy artykuł nie wywołał niezadowolenia, ale w końcu wszyscy zgodzili się, że żadna cholerna gazeta nie przeszkodzi związkowi zawodowym robić tego, na co mają ochotę.

- Chloe będzie zrozpaczona - mruknęła Cassidy. Wyprostowała się niechętnie. - Lepiej więc wezmę się do pracy.

- Masz mnóstwo czasu. Czy mówiłem ci, że cię kocham?

- Nie, co najmniej od pięciu minut.

Uśmiechnął się do niej i pocałował ją. Nie całkiem przytomna Cassidy pomyślała, że Reid ma rację - będzie jeszcze mnóstwo czasu na pracę.

- Ależ ze mnie idiota - rzekł Reid z namysłem. - Chyba wszystkim poza tobą powiedziałem, że cię kocham. Nawet mojej matce. Powinienem być jej posłuchać - była tak przekonana, że wszystko się ułoży, że kupiła już sobie mieszkanie.

- Mówiła mi. - *A ja oczywiście wyciągnęłam niewłaściwe wnioski* - dodała w myśli.

- Jest szalenie podniecona perspektywą wnuków.

Cassidy przeszedł lekki dreszcz.

- Reid - powiedziała ze smutkiem - a jeśli nie uda mi się? Jeśli powtórzy się ta sama historia, co z Czekoladką?

- Naprawdę sądzisz, że wtedy mniej bym cię kochał? - Poglaskał ją po głowie i przyciągnął bliżej. - Nie bądź głuptasem. To się więcej nie zdarzy. Nie ma żadnego powodu, żebyśmy nie mieli mieć - no, na przykład Oliwki - zdaje się, że na oliwki masz zawsze ochotę. Albo Orzeszka - mówiłaś, że bardzo je lubisz. I może jeszcze Pasztecika do kompletu...

- Ciii... - szepnęła. - Teraz mam ochotę tylko na ciebie.

- To dobrze - powiedział cicho. - Z tym jakoś sobie poradzę.

A tak na marginesie, gdy urodziła im się córeczka, nazwali ją Shannon Elizabeth.

Ale ojciec niemal zawsze mówił do niej: Bułeczko.